

AZERO

BIULETYN INFORMACYJNO - PROPAGANDOWY KW WARSZAWA



ISSN 1641-9359



www.kw.warszawa.pl

1(11)/2006
bezpłatny



Dla
członków
KW Warszawa
10% zniżki

Warszawa

- HiMountain w **CH Reduta** Al. Jerozolimskie 148
tel. 022 823 91 04
- HiMountain w **Galeria Arkadia** Al. Jana Pawła II 82
tel. 022 331 27 96
- Himountain ul. Królewska 2 (wejście od **Krakowskie Przedmieście**)
tel. 022 827 17 11
- Warszawa Janki, Himountain w **CH Geant** Mszczonowska 3
tel. 022 711 30 77



HiMountain



Książka wyjść

Słowo Prezesa	2
Lekcja pokory	4
Marko Prezelj – wywiad	18
Jak zdobywałem koronę Ziemi. Część I – Elbrus	32
Dolina Miyar	40
Alpinie Intro Recollections	46
Lodowe wspinanie w Dolinie Gastein	50
Widok na Kieżmarską z Jackovicem w tle	58
Podsumowanie sezonu zimowego 2005/2006 w Polskich Tatrach	68
A/Zero Topo	78
Piknik dry-toolowy KW Warszawa w Janówku - IV edycja	85
Wampir	88
Łgórstwo (3)	92
Łopata, sonda, pips	94
Info Klubowe	96



A/Zero – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy K.W. Warszawa

Nr 1 (11)/2006

ISSN: 1641-9359

Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Maciek Lama Olinkiewicz (lama@post.pl), Artur Paszczu Paszczak (paszczak@qdn.net.pl), Mariusz Wilan Wilanowski (marysia029@o2.pl)

Do powstania numeru przyczynili się: Jan Gondowicz, Lindsay Griffin, Jan Hobrzański, David Kaszlikowski, Michał Król, Maciek Kubera, Jakub Radziejowski, Ania Samocka, Zbyszek Skierski, Andrzej Skłodowski, Paweł Strzelecki, Wampir, Zbyszek Warakowski.

W A/Zero piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek wypadek powstałe podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/Zero. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja A/Zero nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za zgodą redakcji A/Zero.

Oktładka I str.: Michał Król podczas podejścia po lodowcu Tawa. Dolina Miyar, Indie. Fot.: David Kaszlikowski (studiowspin.com.pl)

Oktładka IV str.: Zbyszek Skierski przy namiocie na przełęczy pod wschodnią ścianą Thalay Sagar. Fot.: M. Nanowski.

S ł o w o P r e z e s a

No więc weszła Martyna na Everest.

Jedni nie dawali jej szans, inni twierdzili, że najpewniej da radę. W sumie trudno zrozumieć, skąd aż tyle emocji i zainteresowania. Przecież na Everest wchodzi rok w rok po kilkadziesiąt osób, w tym chromi i kulawi, starcy i dzieci, i jakoś nikogo to specjalnie nie bulwersuje. A jednak zapowiedź Martyny spowodowała coś w rodzaju burzy w szklance wody. Dlaczego?

Myślę, że wciąż mamy problem z rozróżnieniem dwóch sfer – osiągnięć osobistych i osiągnięć sportowych. Ciągłe się to nam miesza, i to zarówno publice jak i samym autorom wejść. Raz po raz, mamy do czynienia z tworzeniem wirtualnych dyscyplin tylko po to, aby uzasadnić wagę i niebывałą niepowtarzalność przejścia. Każdy przecież, jeśli dobrze pokombinuje, może zostać mistrzem świata w jakiejś dyscyplinie, bo inwencja ludzka nie ma granic. Stąd pierwsze wejście na Everest bez nogi, najstarszy człowiek na Everest, najmłodszy człowiek w obozie III na Everest, pierwszy ojciec z synem, pierwsza matka z córką, pierwsza gospodyni domowa, pierwszy Polak w towarzystwie Czecha itd. Tylko, co to ma wspólnego z alpinizmem, jak słusznie zauważył Andrzej Machnik?

Martyna Wojciechowska odniosła wielki osobisty sukces i naprawdę szczerze jej go gratuluję, zwłaszcza, że działała bardzo sprawnie. Ja na Everest wejść nie dałbym rady, i to z więcej niż jednego powodu. Nie zmienia to jednak faktu, że mogę, przy zachowaniu obiektywnych kryteriów, ocenić jej wejście jako mające ze sportowym alpinizmem niewiele wspólnego, i to pomimo gromkiego zapewnienia o sportowym charakterze wyprawy. Gdyby wyprawa Martyny sama zakładała swoje poręczówki, swoje obozy, sama je zaopatrywała i sama zwinęła – moglibyśmy mówić o alpinizmie, aczkolwiek wartość sportowa osiągnięcia szczytu drogą normalną, i to nawet „w sensie kobiecym”, w dalszym ciągu pozostawałaby niewielka. Skoro jednak wyprawa brała udział w dobrze zorganizowanej komercyjnej maszynierii turystycznej w scenarii gór wysokich – nie przystawiamy do niej kryteriów, jakie stosujemy np. wobec wyprawy Piotra Pustelnika na Annapurnę, bo nieuchronnie zabrnemy w ślepy zaułek.

Dzisiejszy świat wywiera presję na sukces, a ten osiągnąć niełatwo. Dlatego, czasem nieświadomie, wybieramy drogę na skróty. Czy sami jesteśmy bez winy? Uderzmy się w piersi! Ileż to „pierwszych” czy „nowych” anonosowaliśmy w pędzie do uznania? Drwi z tego Marko Prezeli, że dzisiejsza słoweńska młodzież wspinaczkowa raz po raz dmie w fanfary „pierwszego klasycznego z jedną ręką”, „pierwsze zimowego w opadzie śniegu” i temu podobnych. Czy jednak jest to fenomen wyłącznie słoweński?

Dlatego nie naigrywajmy się z Martyną. W jej sukcesie i krytyce widzę odbicie naszych własnych przywar. I choć niekoniecznie z nimi wygramy, to przynajmniej zdajemy sobie z nich sprawę. W tym kontekście zauważmy cichy sukces Anki Czerwińskiej, która bez rozgłosu, bez kamer, bez publicity, bez poręczówek, bez „przemysłu wsparcia”, z jednym Jurkiem Natkańskim w odwodzie, ot tak, włożyła sobie na Makalu. Na własnym przykładzie zademonstrowała, jak to należy robić.

Na tym kończę, bo pędzę w góry.
Mam na oku jedno „pierwsze wejście”.

Paszcz





Potrzebujesz energii?

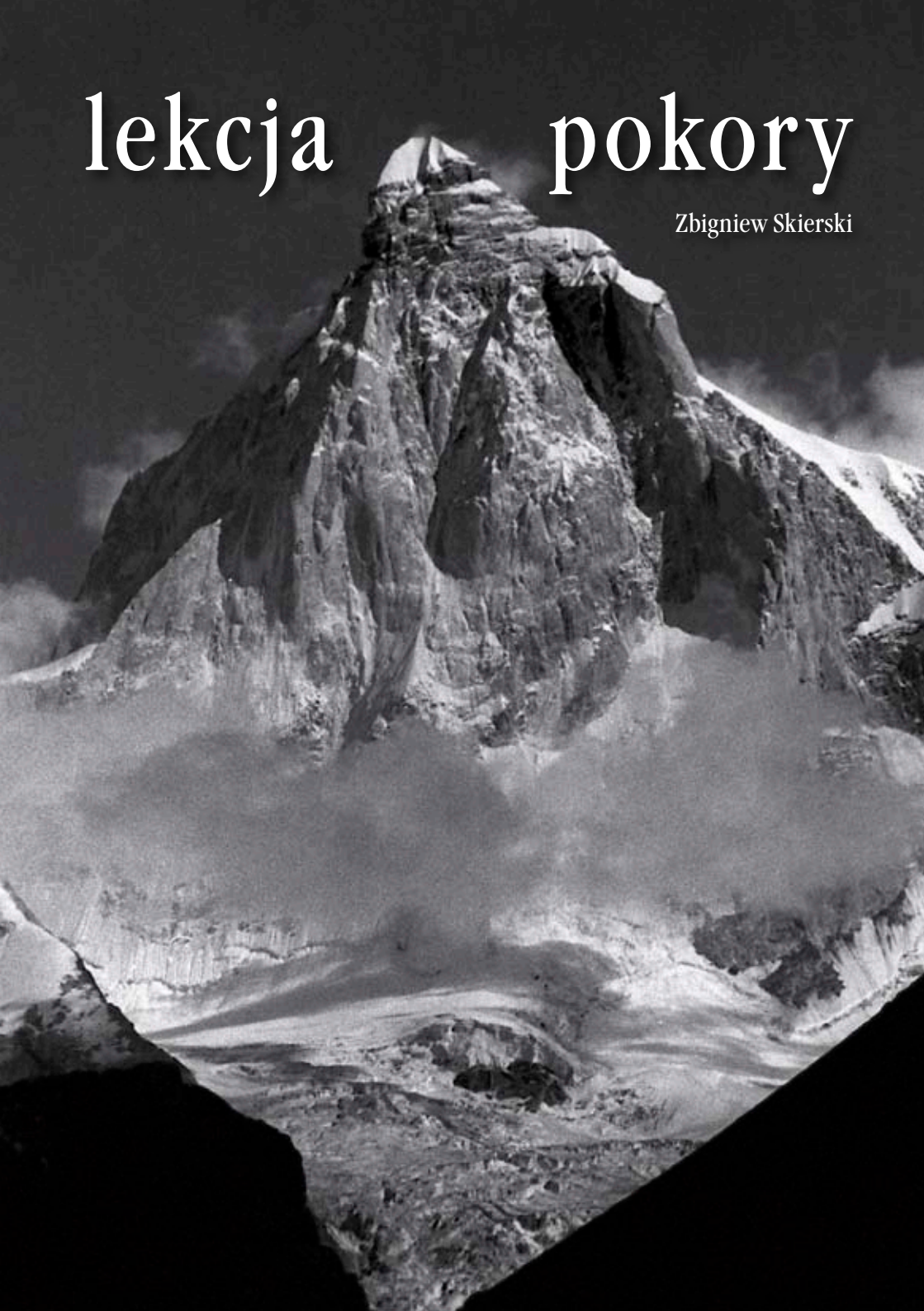
Chalwa Królewska - idealna dla wymagających

- duża dawka energii
- wszędzie się zmieści
- nie zamarza



lekcja pokory

Zbigniew Skierski



Thalay Sagar (6904) położony jest w Himalajach Garhwalu w rejonie Gangotri, sto kilometrów na południowy wschód od Utarkashi.

Ten wyjątkowej urody szczyt zamykający dolinę Kedar Tal jest stosunkowo łatwo dostępny z Delhi. Powiada się, że trzeba sześciu dni, aby znaleźć się pod nim. Tymczasem nasz kolega, Tomek Kopyś, potrzebował tylko czterech dni od wyjścia z domu w Warszawie, by dotrzeć do bazy pod Thalaya (znajdując nawet czas na degustację wyrobów zielarskich serwowanych przez miejscowego pustelnika, oczywiście bez zaciągania się).

Na początku lat siedemdziesiątych obszar doliny Kedar był zamknięty dla obcokrajowców i działały tam tylko wyprawy hinduskie. Zdobyte zostały wówczas m. in. wszystkie trzy szczyty Joggina. Pomimo swojego piękna Thalay Sagar pozostawał jakby niezauważony. Liczne wyprawy w rejon Shivlingu (Gangotri Glacier) nie mogły go dostrzec, bo był przesłonięty innymi szczytami. Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, po udostępnieniu doliny zagranicznym ekspedycjom, został odkryty, wzbudzając zrozumiałe zainteresowanie jako wybitny cel alpinistyczny.

Przez ostatnie 20 lat zorganizowano co najmniej 48 ekspedycji na Thalay Sagar. Jak do tej pory mniej niż 1 na 4 kończyły się sukcesem.

Po raz pierwszy szczyt został zdobyty w 1979 roku zachodnią grzędą z obejściem wybitnego, monolitycznego obelisku. Do największych wyzwań należało jednak pokonanie prawie półtora-kilometrowej ściany północno-wschodniej. Podjęto kilka prób zakończonych niepowodzeniem. Dopiero w 1991 roku węgierskiemu zespołowi udało się wejść na szczyt, prowadząc ekstremalną drogę lewą częścią ściany. Dodatkowym utrudnieniem przy wytyczaniu nowych dróg na tej górze jest budowa geologiczna. Ostatnie dwieście metrów piramidy zbudowane jest z czarnych, nieprzyjaznych łupków, które jak czapka przykrywają wspaniałą granitową konstrukcję znajdującą się pod nimi i stanowią ostatnią barierę utrudniającą osiągnięcie wierzchołka. Jak do tej pory na szczyt poprowadzono 9 linii. Poniżej przedstawiamy opis jednej z zaawansowanych prób zdobycia szczytu oraz chronologiczną kolejność powstawania nowych dróg.

Stępione raki nagle wyjechały z lodu. Ani czekani ani młotek lodowy nie były jeszcze wbite i to był błąd. W mgnieniu oka, głową w dół, na brzuchu, pomknąłem w otchłań.

W zasadzie pojedyncze „sznurowadło”, jak nazywaliśmy używaną wówczas polską linę, powinno w tym momencie pęknąć i pozwolić mi szybować dalej swobodnie, ale charakterystyczne szarpnięcie nie na-

stępowało. Zamiast tego jakaś delikatna siła zaczęła stawiać mnie do pionu, a prędkość powoli spadła do zera. Wisiałem na linie mając wokół pionowe ściany. Moje ręce i przedramiona były nagie, a rękawy swetrów i kurtki dokładnie wtłoczone pod pachy. Z trudem dochodziłem do siebie. Bolał mnie stłuczony łokieć i kość ogonowa. Krzyczałem do Tomka, który oczywiście nic nie słyszał...



Po lewej Brigupanth, a po prawej Thalay Sagar. Fot.: Z.Skierski.

Podbudowani falą sukcesów polskiego himalaizmu lat osiemdziesiątych, we wrześniu 1987 roku znaleźliśmy się w dolinie Kedar Tal w rejonie Gangotri. Nasza wyprawa składała się z członków Klubu Wysokogórskiego Warszawa oraz Klubu Alpejskiego, działającego przy PTTK w składzie: J. Barszczewski (Barszcz) T. Czarski, R. Jackowski (lekarz), R. Kołakowski (kierownik), T. Kopyś, Z. Krośkiewicz, M. Nanowski, J. Patrzykont, A. Rygier i Z. Skierski (zastępca kierownika). Celem wyprawy był szczyt o nazwie Brigupanth (6772 m n.p.m.).

Po przybyciu do bazy doszedłem jednak do wniosku, że cel jest chybiony.

Brigupanth prezentował się mało efektownie w porównaniu z zamykającym całą dolinę, strzelistym, groźnym Thalay Sagar

(6904 m n.p.m.) i jego niepokonaną (wówczas), północno-wschodnią ścianą. Szczyt ten zrobił na wszystkich potężne wrażenie.

Byłem nim tak zafascynowany, że od samego początku zacząłem myśleć o zmianie celu. Przekonałem do pomysłu Barszcza (Jurka Barszczewskiego), pozostawiając Brigupantha innym.

Po założeniu bazy ruszyliśmy na rozpoznanie terenu i drogi podejściowej pod Thalaya. W tym czasie wynieśliśmy do góry część ekwipunku, spędzając noce na coraz większych wysokościach. Byliśmy nastawieni na wspinanie w stylu alpejskim i nie mieliśmy ze sobą wiele sprzętu. Postawiliśmy dwa namioty: jeden u stóp kuluaru wyprowadzającego na przełęcz (6000 m n.p.m.) ograniczającą wschodni filar Thalay Sa-

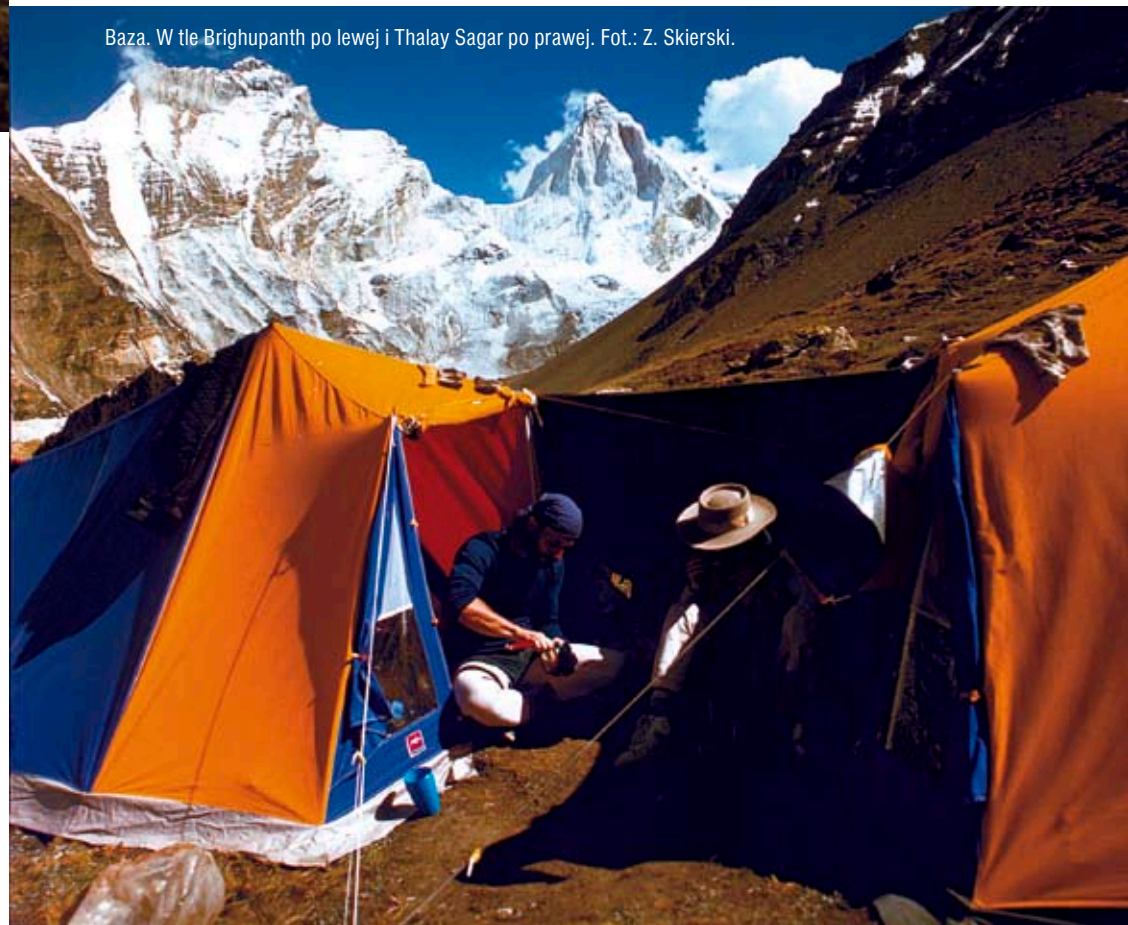
gar, a drugi na samej przełęczy. Już dojście do pierwszego namiotu było emocjonujące, bowiem droga wiodła wielkim trawersem pod północną ścianą Thalay Sagar, poprzez ogromne śnieżno-lodowo-kamienne lawinisko, którego przekraczanie wywoływało przyspieszone bicie serca. Osiągnięcie przełęczy wymagało natomiast pokonania szczeliny brzeżnej i monotonnej wspinaczki stromym, 800-metrowym śnieżno-lodowym kuluarem. Pomimo dużego nastromienia kuluaru, nie zaporęczowaliśmy go.

Naszym celem na Thalay Sagar miało być wielkie zacięcie utworzone przez ścianę wschodnią i wschodni filar, pokonany

w 1983 roku przez wyprawę Polsko-Norweską. Jedną trzecią wysokości ściany stanowiły strome pola śnieżno-lodowe, wyprowadzające pod skalne bastiony gigantycznego zacięcia. Długość drogi szacowaliśmy łącznie na ok. 800 m.

21-go września późnym popołudniem znów dotarliśmy z Barszczem na przełęcz. Po niespokojnej nocy przerywanej atakami kaszlu Jurka spakowaliśmy niezbędny ekwipunek i bez pośpiechu ruszyliśmy w kierunku ściany. Z miejsca biwaku była teraz łatwo dostępna. Po dwudziestu minutach trawersowania płaskich pól śnieżnych,

Baza. W tle Brighupanth po lewej i Thalay Sagar po prawej. Fot.: Z. Skierski.



byliśmy pod ścianą. Teren zaczął się wznosić i po chwili drogę zagroziła nam szczelina brzeżna, która prędko okazała się barierą trudną do pokonania. Górna warga była mocno wywieszona a duża ilość miękkiego śniegu uniemożliwiała asekurację oraz przesuwanie do góry. Duża ilość miękkiego śniegu uniemożliwiała asekurację oraz przemieszczanie się do góry. Dopiero

Gdy pod wieczór pogodziłem się już z myślą o przegranej, usłyszałem nagle dziwne dźwięki dobiegające zza skalnej grańki, pod którą stał mój namiot. Po chwili wynurzyła się stamtąd postać.

Był to Tomek Kopyś, który z blisko tygodniowym opóźnieniem wyleciał z Polski i właśnie odbywał wyjście aklimatyzacyjne. Doszedłby tutaj prawdopodobnie dwa dni



W dole jezioro morenowe a w tle Brigupanth i Thalay Sagar. Fot.: Z. Skierski.

po dwóch godzinach walki udało się nam ją pokonać. Barszcz kaszłał coraz bardziej, a jego samopoczucie z każdą chwilą pogarszało się. Wróciliśmy na przełęcz. Jurek odmówił ponownego wyjścia i w ten sposób pozostałem sam u stóp kuszącej góry.

Cały kolejny dzień zastanawiałem się nad solowym atakiem. Jednak nie czułem się przygotowany do takiej akcji.

wcześniej, gdyby nie koledzy. Zauważyli go przemykającego się chyłkiem w odległości kilkuset metrów od niewidocznej znad jeziora bazy i zmusili do odpoczynku.

Nie wiem, na co liczyłem, zadając mu pytanie, czy pójdzie ze mną na Thalay Sagar. W każdym razie Tomek odpowiedział, że owszem, z chęcią, ale tylko w charakterze asekuranta.





W pierwszej chwili pomyślałem, że wysokość pomieszała mu rozum, albo że robi sobie charakterystyczne dla niego jaja. Był jednak całkiem przytomny, zachowywał się normalnie. Zjedliśmy więc kolację i poszliśmy spać. Następnego dnia ruszyliśmy pod ścianę. Szybko przeszliśmy szczelinę brzeżną po pozostawionym tam sznurku i dziarsko zaczęliśmy pokonywać trzystumetrowe pole lodowe. Bezpośrednio nad naszymi głowami piętrzyła się monolityczna ściana wschodnia, poprządkowana cieniutkimi nitkami lodowymi, zanikającymi w taflach granitu, by pojawić się kilka metrów wyżej. Rozpatrywałem szanse wytyczenia drogi tymi nitkami, ale brak jakiegokolwiek asekuracji budził grozę. Wytrawersowaliśmy ostatecznie w prawo, gdzie ściana rokowała największe szanse przejścia. Pod wieczór osiągnęliśmy skalną depresyjkę i pomimo niezbyt późnej pory urządziliśmy w niej biwak. Teren powyżej wyraźnie stawał dęba. Pogoda była piękna. Trzeba dodać, że nie mieliśmy żadnych możliwości sprawdzania prognozy. To dodawało całemu przedsięwzięciu dodatkowego smaczków.

Kolejny poranek przywitał nas nieskazitelnym błękitem. Zanim zdołaliśmy na dobre wydostać się z płachty, z nad grani Brigupantha wyszło słońce i zalało ciepłem nasz biwak, a wraz z nim całą wschodnią ścianę Thalaya. Wszystko nagle ożyło. Ruszyły w dół drobne kawałki lodu wytapiane słońcem. Tu i ówdzie pojawiły się cienkie stróżki wody. Skała zabarwiła się bogactwem kolorów od jasnych szarości po wspaniałe, soczyste pomarańcze, a wszystko to urozmaicały duże kryształy kwarcu i skaleni.

Wiedząc, że trzeba wykorzystać zbawcze promienie słońca, ruszyłem do ataku.

Już pierwsze kroki w przewieszającą się ryś uzmysłowiły mi, że nie pójdzie tak łatwo. Obwieszony sprzętem, w podwójnych butach, ważyłem za dużo na klasykę w tym terenie. Wyciągnąłem więc ławy i z wolna popłynąłem w górę wlokąc za sobą „repa”. Po kilkudziesięciu metrach płytkie zacięcie lekko położyło się i fragmenty mogłem pokonywać klasycznie. Podobnie wyglądały kolejne wyciągi. Niestety, wszystko szło okropnie wolno. Samodzielnie „repowałem” do góry ciężki wór, a w tym samym czasie Tomek „małpował” na sztywno umocowanej linie i targał pod sobą kolejny wór przypięty do uprząży. Czasami pomagał przy moim worze, gdy ten złośliwie haczył się w terenie. Słońce już dawno uciekło z naszej ściany, a temperatura spadła grubo poniżej zera. Teraz posuwaliśmy się z lekkim odchyleniem w prawo, w kierunku filara. Teren zrobił się łatwiejszy i można było schować ławy. Pod wieczór dotarliśmy na całkiem poziomy, duży balkon skalny, pod kolejnym pionowym uskokiem. Na nim postanowiliśmy zabiwakować. Wygwieżdzone niebo nad głowami, morze gór po horyzont, otchłań pod nogami i świadomość nieprawdopodobnego miejsca, w którym się znajdowaliśmy, wywoływały lekkie mrowienie na plecach i niemal mistyczne przeżycia. Uczucie osamotnienia i oddalenia w dziwny sposób łączyło się z wrażeniem absolutnej pełni i jedności ze światem. Zmęczenie jednak szybko dało kres tej mistyce i za chwilę obudziły nas ciepłe promienie wschodzącego słońca dnia następnego.

Po spakowaniu gratów ruszyłem dalej. Chwila lewitowania na dwóch haczykach i już byłem nad uskokiem. Od tego miejsca trudności wspinania nie przekraczały



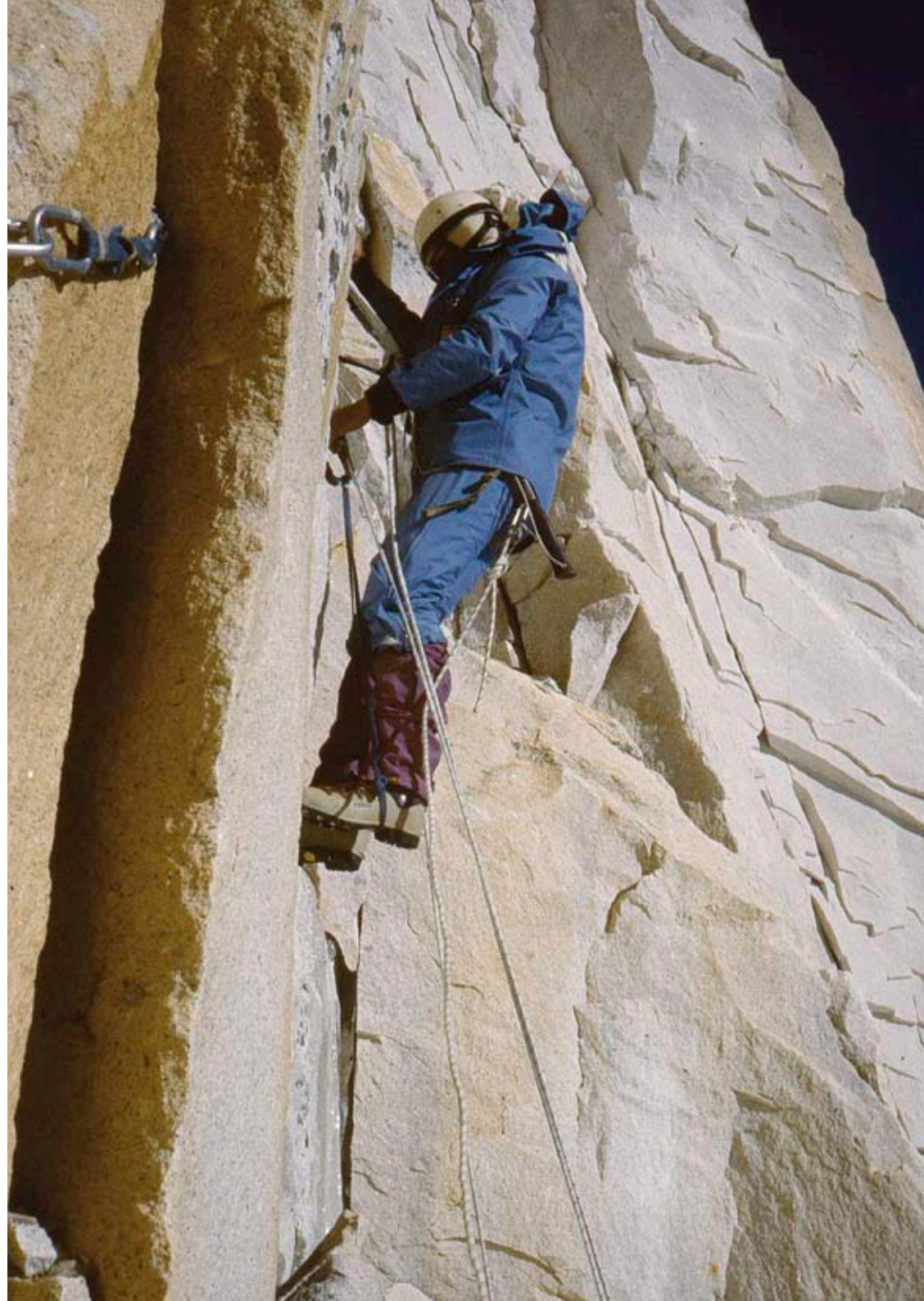
Poranek po drugim biwaku na skalnym balkonie. Fot.: T.Kopyś.

piątego stopnia, za to znowu musiałem sięgnąć po raki i czekanie. Dochodziliśmy powoli do miejsca połączenia się filara z kopułą szczytową. Późnym popołudniem, lodowym kominkiem doszliśmy do śnieżnej grańki, która ewidentnie stanowiła górną część filara i zanikała w kopule szczytowej. Jednocześnie otworzył się częściowo widok na ścianę północną. Nad głowami mieliśmy teraz wyraźne, nieco pochylone ławice czarnych, łupkowych skał. Wyglądały krucho i nieprzyjemne. Zastanawiałem się,

jak pokonać tę przeszkodę. Póki co, poruszaliśmy się jeszcze w górę, aż pod pionowy, przynajmniej czterdziestometrowy próg utworzony przez łupki. Ponieważ zrobiło się późno, postanowiliśmy zejść nieco na wygodne półki skalne i tam założyć kolejny biwak. Pozostawiliśmy jednak linę poręczową, aby następnego dnia móc szybko wrócić do poprzedniego miejsca. Była to lina statyczna, której używaliśmy jako repsznura.

Jakież było moje zdziwienie, gdy pod ciężarem mojego ciała, na moich oczach, ta właśnie lina zaczęła się gwałtownie przecierać w miejscu kontaktu z ostrą skałą! Czym prędzej zmieniłem pozycję, aby przesunąć linę w inne miejsce. Na szczęście odcinek do małpowania był krótki, ale powiało grozą. Jak żywy stanął mi przed oczami obrazek z Filara Frenney, kiedy to zerwaniu uległa jedna z żył, po której małpował mój partner... No, ale to już zupełnie inna historia.

Wyjście do góry nie przyniosło oczekiwanego rozwiązania. Droga przed nami była zamknięta pasem pionowych skał wyglądających na kruche i trudne do pokonania. Wróciliśmy na miejsce biwaku i stamtąd na lewo weszliśmy po stromych stopniach skalnych w skośny trawers. Po przejściu jednego wyciągu teren stał się łatwiejszy na tyle, że postanowiłem dla zwiększenia naszej





szybkości robić dłuższe wyciągi. Dysponowaliśmy tak zwanym polskim „podciąganiem”. Lina ta miała czterdzieści metrów, składała się z samej koszulki – nie posiadała rdzenia i dlatego zwykle stosowało się ją podwójnie. Jednak w związku z moim pomysłem wydłużania wyciągów przewiazaliśmy się „pojedynczo”, tak, bym mógł dysponować osiemdziesięcioma metrami. Czując już bliskość wierzchołka chciałem jak najszybciej dotrzeć do niego, aby jeszcze tego samego dnia wrócić do naszego ostatniego miejsca biwakowego, gdzie pozostawiliśmy nie tylko część gratów, ale i spanie. Na niebie dawało się zauważyć pierwsze oznaki nadciągającego załamania pogody.

Ruszyłem skośnym trawersem, pokonując tu i ówdzie jakiś prózek, ściankę czy kominiek. W ten sposób dotarłem do miejsca, w którym znajdowała się pionowa rozpadlina pomiędzy wybitną skalną turnicą, a właściwą ścianą. Z rozpadliny wylewał się szklisty lód, tworząc u swojej podstawy rodzaj płaskiej ostrogi. Doszedłszy tam, wkręciłem tytanową śrubę lodową, przepiąłem linę i ruszyłem dalej... Stąpione raki nagle wyjechały z lodu. Ani czekan, ani młotek lodowy nie były jeszcze wbite i to był błąd. W mgnieniu oka głową w dół, na brzuchu, pomknąłem w otchłań. W zasadzie pojedyncze „sznurowadło”, jak nazywaliśmy używaną wówczas polską linę, powinno w tym momencie pęknąć i pozwolić mi szybować dalej swobodnie, ale charakterystyczne szarpnięcie nie następowało. Zamiast tego jakaś delikatna siła zaczęła stawiać mnie do pionu, a prędkość powoli spadła do zera. Wisiałem na linie mając wokół pionowe ściany. Moje ręce i przedramiona były nagie, a rękawy

swetrów i kurtki dokładnie wtłoczone pod pachy. Z trudem dochodziłem do siebie. Bolał mnie stłuczony łokieć i kość ogonowa. Dyndałem na linie i krzyczałem do Tomka, który oczywiście nic nie słyszał. Jakimś cudem rozbijałem się i opadłem po chwili na łatwiejszy teren, którym wspinałem się do tytanowej śruby. Założyłem auto i zastanawiałem się, czy iść dalej. Poczułem jak ciało zaczyna lekko dygotać. Byłem w szoku. Gwałtownie potrzebowałem odpoczynku...

Po „naradzie wojennej” ustaliliśmy, że cofniemy się do miejsca naszego ostatniego biwaku, przenocujemy i dopiero rano zdecydujemy, czy iść dalej w górę, czy też odpuścić. Byłem wściekły. Oczywiście chciałem kontynuować wspinaczkę, ale Tomek z powodu braku aklimatyzacji zdecydowanie odmówił prowadzenia. Mogłem więc liczyć w tej kwestii tylko na siebie. Jednak nieustanna koncentracja i napięcie towarzyszące ostatnim dniom, nie mówiąc już o odbytym locie, mocno nadwyreżyły moją wolę walki.

Póki co, rozłożyliśmy się z biwakiem i zaczęliśmy wyjadać resztki szturmzarcia. Z dna plecaka wydobyliśmy kilka kawałków kiełbasy pozostawionych na czarną godzinę i opiekaliśmy je nad płomieniem maszynyki butanowej. Do dziś pamiętam ich smak.

I znów kolejny poranek przywitał nas błękitem. Wydawało się to nieprawdopodobne. Słoneczna pogoda utrzymywała się od ponad dziesięciu dni. Byłem jednak kompletnie rozbity. Nie było sensu dłużej się zastanawiać. Nieśpiesznie spakowaliśmy graty i rozpoczęliśmy montonne zjazdy na oblatanym podciągu, tnąc na pętłę fatalny repsznur.

Po kilkudziesięciu metrach płytkie zacięcie lekko położyło się i mogłem fragmenty pokonywać klasycznie. Fot.: T. Kopyś.

Późnym popołudniem dotarliśmy do namiotu na przełęczy.

Po spędzeniu kolejnej nocy, tym razem w bardziej komfortowych warunkach, obciążyliśmy się dodatkowo, acz niechętnie, namiotem i innymi sprzętami z przełęczy i ruszyliśmy w dół.

Zejsście kuluarem okazało się potworne. Schodziliśmy twarzą do stoku. Po pewnym czasie postanowiliśmy jednak zjechać. Ale kłopoty ze ściąganiem „podciągu” były olbrzymie. Trzeba było zrezygnować z wiązania na końcu węzła. Przez kilka godzin w pocie czoła toczyliśmy nierówną walkę, by w końcu przybliżyć się do szczytowej brzeźnej. Z nieba lał się żar, wysysając z nas resztki sił. Powoli traciłem poczucie rzeczywistości... żeby tylko nie przejechać końcówki liny, żeby tylko nie przejechać.

Poczułem kopnięcie w pierś. Jednocześnie jakaś siła gwałtownie zaczęła mnie spychać w dół. Wykonałem jeden skok potem drugi i trzeci... i jakimś cudem ustałem na nogach. Kilkanaście metrów wyżej na śniegu spoczywały wolne końcówki liny. Udało mi się dokonać tego, czego tak się obawiałem... Szczęśliwie nie straciłem jednak równowagi i teraz stałem sparaliżowany strachem z wbitym głęboko czekanem zaledwie parę metrów nad szczeliną brzeźną...

Gdy kilka godzin później zmordowani dowlekliśmy się do opuszczonej już przez kolegów bazy, niebo pokrywały gęste chmury, a powietrze wypełniały wirujące płatki śniegu.

W skołowanej głowie nie byłem w stanie ocenić, czy odnieśliśmy sukces, czy też może porażkę? Jedno było pewne – góra pozwoliła nam przeżyć i mogliśmy spokoj-

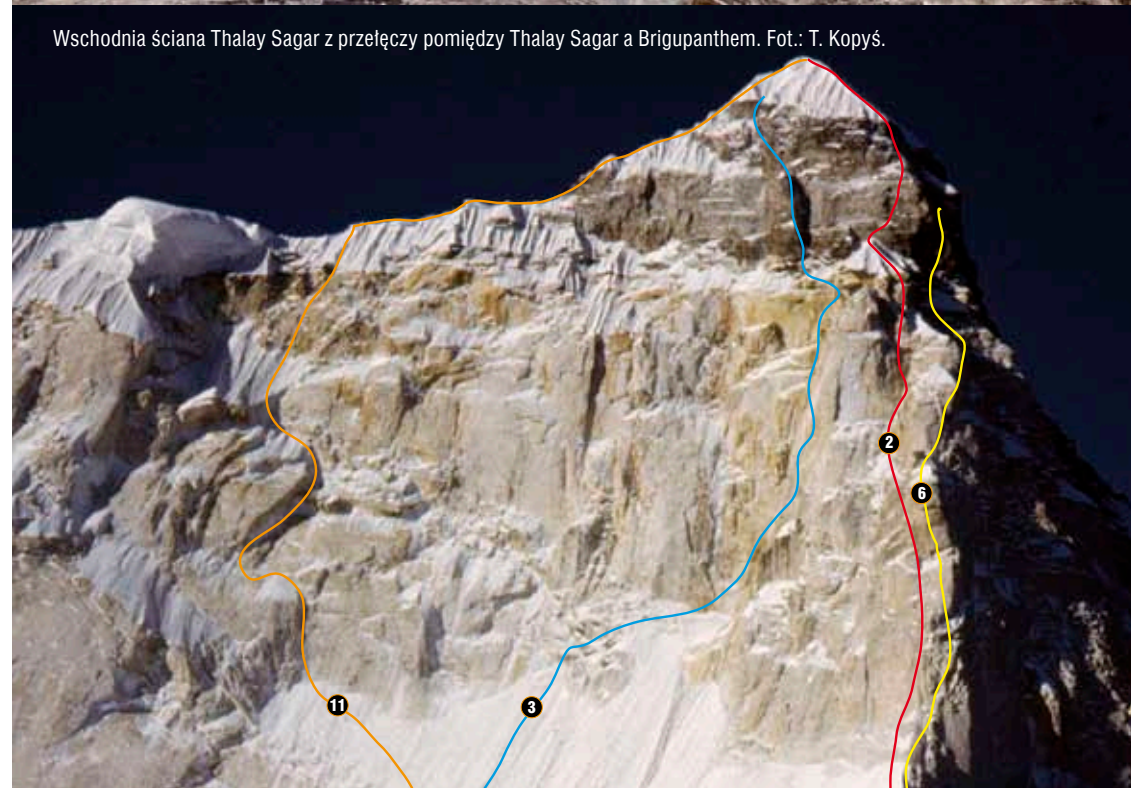
nie powrócić na zielone łąki u źródeł świętego Gangesu.

Posłowie

Poza opisaną powyżej próbą poprowadzenia nowej drogi na wschodniej ścianie Thalay Sagar w czasie trwania wyprawy pokonano zachodni filar Brigupantha – 6772 m (VI-, A1, 450, 1800 m, Kołakowski-Krośkiewicz w dniach 17-20 września 1987) oraz dokonano wejścia na Brigupantha drogą normalną (Barszczewski-Nanowski)

HISTORIA ZDOBYWANIA THALAY SAGAR (6904) – chronologicznie (przybliżony przebieg dróg na podstawie „ALPINIST” 6/2004)

1. Droga Północno-Zachodnim Kuluarem i Zachodnią Granią (5,8 A1 600 1400 m, Kligfield-Thackray-Thexton, 1979).
2. Droga Północno-Wschodnią Granią (VI 5,9 A1, 1000m, Czok-Doseth-Guldal-Nesheim-Skorek, 1983).
3. Polska próba wytyczenia nowej drogi Wschodnią Ścianą Wielkim Zacięciem w linii spadku wierzchołka (5,9 A1, 550 650m, Kopyś-Skierski, 1987) zakończona upadkiem lidera ok. 150 m poniżej wierzchołka.
4. Droga Węgierska Północną Ścianą (5,8 850,1400m, Dekany-Ozsvath, 1991).
5. Droga Ścianą Południową (5,9 600,2440m, Milne-Prentice, 1992).
6. Włoska próba na Filarze Północno-Wschodnim (ED, 5.11 800, 1000m, Rosso-Ruffino-Vanetti, 1994).
7. Droga Lindblade-Whimp Północną Ścianą jako wariant do drogi węgierskiej(?) (VII, 5,9 W15, 1500m, Lindblade-Whimp, 1997)
8. High Tension (droga rosyjska) – Północna Ściana (AB0: 7b A3+, 1400m, Bolotov-Davy-Klenov-Pershine, 1999).
9. Between Light and The Shadow (VII, 5.10 A2, 1400 m, Hristov-Levakov, 2003).
10. One Way Ticket (ED+: VII W16, M6 5.8, 1200 m, Benoist-Glairon-Rappaz, 2003).
11. Droga Holenderska Wschodnią Ścianą (ED-, VI A15 5,8 A1, 800 m, Bedeker-van Berkel-van de Gevel, 2003).





Pod koniec ubiegłego roku gościł w naszym kraju światowej sławy wspinacz słoweński
Marko Prezelj.
Do Polski sympatyczny Słowiec przyjechał dwukrotnie na zaproszenie organizatorów Łódzkiego Explorers Festiwal i III Krakowskiego Festiwalu Górskiego, znajdując przy okazji drugiej wizyty czas, aby odwiedzić nasze góry. Efektem kilkudniowego pobytu pod Tatrami jest między innymi nowa droga Warianty Słoweńskie wytyczona na Wielkiej Mnichowej Babie i poniższy wywiad, którego Marko udzielił specjalnie dla czytelników A/Zero.

Wywiad przeprowadził **Artur Paszczak**.
Tłumaczenie: **Zbyszek Sajgon Warakomski**.

Witaj Marko. Chciałbym porozmawiać z Tobą niektórych Twojej wspinaczkowej kariery. Słyszałem, że zaczynałeś jak wszyscy, od kursu, ale było to szkolenie koleżeńskie.

Tak, bo słoweńskie środowisko – w 1982, gdy zaczynałem – było bardziej jak plemię. Przyłączałeś się do niego, ale jeśli nie pasowałeś do niego, albo sam stwierdzałeś, że to nie jest środowisko dla ciebie, lub plemię cię odrzucało samo – za to, że byłeś za miękki czy dziwny – odpadałeś. Częścią szkolenia była sztuka wiązania węzłów i dziergania stanowisk. W stosunku do dzisiejszej wiedzy, było tego niewiele. Największą wagę przywiązywało się do doświadczenia. Pokazywali ci kilka podstawowych trików i tyle, dalej baw się sam.

Dla niektórych było to dość trudne doświadczenie?

Nie powiedziałbym, że to było trudne. To po prostu nie było dla każdego.

A dla ciebie?

Dla mnie może trudnym doświadczeniem byłaby gra w golfa, nie wiem, bo się tym nie interesowałem.

Nie przejmowali się tym, że ludzie sobie odpuszczają wspinanie?

Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego mieliby się tym martwić? Nie można nikogo zmusić do wspinania, tak się nie da.

Bo to nie był w żaden sposób biznes?

Nie, jasne że nie. To był system, który miał na celu znalezienie ludzi pragnących się wspiąć i mających ambicje żeby się wspiąć i dobrze bawić w górach. Nie było dużych różnic wiekowych – najmłodszy instruktor był starszy ode mnie może o pięć lat, następny miał może kolejne pięć więcej. To nie wyglądało tak, że instruktorzy mieli 20 lat doświadczenia we wspinaniu, a my mieliśmy siedzieć cicho i słuchać.

To nie byli licencjonowani instruktorzy, tylko po prostu koledzy z klubu?

Niektórzy z nich byli instruktorami, ale nie wszyscy. To była specyficzna mieszanka. O hierarchii nie decydowały licencje, tylko doświadczenie. Jeśli w pięć lat ktoś zrobił więcej dróg, niż ktoś inny w dziesięć, to było jasne, że o wspinaniu wie więcej. Ale od starszego stażem można było się dowiedzieć innych ważnych rzeczy o życiu. To nie był taki kurs jak dzisiaj – wszystko masz spisane i realizowane według planu w stylu: „więc dzisiaj zajmujemy się tym, tym i tym”. To była bardziej taka przyjacielska improwizacja. Wiadomo było, że początkujący, jak ja na przykład, będą robić błędy – to stanowiło część edukacji. Nikt się nie cackał. Popelnisz błąd, to znaczy, że się czegoś nauczysz.

Kto był wtedy największym autorytetem w słoweńskim wspinaniu? To był przecież złoty wiek słoweńskiego wspinania.

Złoty wiek właśnie się wtedy zaczął, więc było ich wielu. W 1979, 3 lata przed tym, jak zacząłem się wspiąć, pamiętam – miała miejsce ekspedycja na zachodnią grań Everestu. Ci sami wspinacze byli też w 1975 na po-

Marko pod ścianą Kazałnicy. Fot.: A. Paszczak.





Zimowy buldering. Fot.: A. Paszczak.

wspinaczem przede wszystkim wyprawowym. Francek był bardzo wszechstronny. Może nie koniecznie na ekspedycjach, bo za bardzo chciał się wspiąć i nudziły go ciągle podejścia.

A Pavle Kozjek? To też duża figura?

Nie pamiętam go zbyt z okresu, kiedy zaczynałem. To znaczy pamiętam, że był znanym wspinaczem, ale nie tym z najwyższej półki.

A Tomazin i chłopaki z tego okresu? Ponieważ Tomazin był starszy?

Tak. On był swego rodzaju gwiazdą medialną. Francek kontestował media i walczył z nimi.

Ale Francek miał tyle samo lat, co Tomazin?

Tak. I Tomazin. Ech, schodzimy na śliski grunt.

O.K. Nie szkodzi. Mówiłeś wcześniej, że Tomazin nieźle podrzęzał.

Nie chcę oceniać, ale wtedy Francek był zdecydowanie przed stawką, nawet jeśli chodzi o wspinanie na świecie. Podchodził poważnie do treningu. Zrobił nowe drogi na Eigerze, Grandes Jorasses, Matterhornie, El Capitanie, w Patagonii.

Miał z nim też coś wspólnego Silvo Karo?

Tak, ale Francek po pierwsze zaczął wcześniej, a po drugie on był po prostu opętany wspinaniem.

A Pavle Kozjek i Andrej Stremfelj?

Miałem szczęście wspiąć się z Andrejem. Ale porównując go z Frankiem, on był

Tak, szczególnie te drogi w Patagonii.

Nie – też na Meru zrobił z marszu 2 nowe drogi na jednym wyjeździe. Wydaje się,

że muszą być łatwe, skoro poszło mu tak lekko. W rzeczywistości nie mają dotąd powtórzenia.

No tak, ale też nikt nie powtórzył drogi na Cerro Torre.

Myślę, że Francek nadal jest trochę opętany, jest bardzo interesującą osobą. Ponieważ trzymał się z daleka od mediów – już wtedy – to jest w pewien sposób zapomnianym sym sym słoweńskiego wspinania.

Tak, ale gdy mówisz nazwisko Knez, każdy wie, że...

Wie co?

Że to jeden z największych wspinaczy!

Nie byłbym taki pewien. Ale jeśli spytasz, dlaczego miałby nim być, to wzruszą ramionami, nawet w Słowenii.

To był Knez, Silvo Karo i Janez Jeglic. Kim był ten ostatni? To ta sama generacja?

Nie, on był młodszy. Ale oni byli nazywani „Trzema Muszkieterami”. Ten zespół pchał słoweński alpinizm do przodu.

Skąd to się wzięło? Dlaczego nagle pojawiło się tylu dobrych wspinaczy?

To nie stało się nagle.

Ale wydawało się, że nagle?

Zawsze trochę czasu zajmie, zanim ludzie zorientują się, że coś się dzieje, więc może to tak wyglądać. Ale jestem pewien, że niektórzy



Marko Prezelj. Fot.: A. Paszczak.

rzy wspinacze z poprzedniej generacji byli już bardzo dobrzy.

Na przykład?

Stane Belak Strauf, Marjan Manfreda, Ales Kunaver. Wspinali się tak samo dobrze, jak ludzie we Francji i Włoszech. Ale robili to głównie w Słowenii. Coś na kształt rezerwatu. Mało kto przyjeżdżał i mało kto wyjeżdżał. Byli bardzo dobrzy, ale o tym nie wiedzieli.

Nikt o tym nie wiedział.

A oni tym bardziej! Myśleli tylko: „A! jesteśmy biednymi wspinaczami z (ówczesnej) Jugosławii”. A potem, gdy przyszła generacja Karo, Jeglica i Kneza, pojechali w Alpy czy do Colorado. Mam podobne doświadcze-

nia – gdy pojechałem za granicę, zobaczyłem, że tam wcale nie mieszkają nadludzie. Że są nawet słabsi niż ja. Oni chyba mieli tak samo. Poznali swoje możliwości i wykorzystali daną im szansę.

Więc to była scena, na którą wszedłeś. Ile czasu zajęło, zanim zostałeś zaakceptowany jako wspinacz i znalazłeś się w elicie? To był rok 1982, gdy zacząłeś. A mówiłeś, że na pierwszą wyprawę pojechałeś w 1987.

Tak, ale to był wyjazd klubowy z okazji 60 rocznicy jego powstania. Nie było trudno się dostać. Nie używałbym słowa elita, bo dzisiaj może to mieć jakieś negatywne konotacje.

Ale byłeś zauważany?

Inaczej – użyłbym słowa elita, ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu. W każdym aspekcie życia masz do czynienia z pewnego rodzaju elitami. Gdy jesteś jej członkiem, uważasz ją za pozytyw, a gdy do niej nie należysz, nie podobają ci się. Wtedy w 1987 poszło mi całkiem nieźle, mimo że nie miałem specjalnie dużego doświadczenia. Ale to była ekspedycja w której skład wchodziły już cztery gwiazdy – Andrej Stremfelj, Tomo Cesen, Silvo Karo i Filip Benčič. Oni nie należeli do naszego klubu, tylko przyłączyli się do wyjazdu, żeby zrobić jakąś mocną drogę, co się, niestety, nie udało.

Jak to się stało, że zakwalifikowałeś się na wyjazd?

Byłem ambitny, więc gdy pojawił się pomysł, stwierdziłem, że chcę w to wejść. Powiedzieli

mi, że jeśli będę pracował i zarobię pieniądze, to będę mógł pojechać. Pracowałem dwa lata.

Miałeś już wtedy jakieś osiągnięcia w Słowenii?

Tak, dużo się wspinałem. Ale to nie będą drogi, które coś ci powiedzą.

No tak, ale to były przejścia, na podstawie których ktoś mógł stwierdzić: „tak, on może być niezły”?

Nie wiem, co „oni” sobie myśleli.

Ale czy zrobiłeś jakieś ważne drogi na Triglavie, coś, co wyróżniałby cię?

Nie sądzę. To raczej chodziło o nastawienie. Robiłem niezłe drogi, ale nie były one jakieś bardzo wyjątkowe. Bardziej chodziło o energię, którą emanowałem. Chęć wyjazdu.

Wspomniałeś Tomo Cesena. Ile razy musiałeś odpowiedzieć na pytanie, co o nim myślisz?

Co myślę o nim? Jest wyjątkową osobą, wielkim wspinaczem.

Ale chyba wielokrotnie ludzie pytali Cię, co myślisz o całej historii z nim związanej?

Jakiej historii?

Czy wspiął się na Jannu, czy zrobił ponadludniową ścianę Lhotse?

A, tę historię. Mam na ten temat swoje prywatne zdanie, które nie jest oparte



Start w drugi wyciąg na *Wariantach Słoweńskich* (siódemkowe zacięcie). Fot.: Jakub Radziejowski.

na dowodach, ani niczym konkretnym. To jest trochę jak z religią – musisz wybrać – wierzysz albo nie. Ludzie wierzą w Boga, mimo że nigdy Go nie widzieli. Nie chcę odwracać kota ogonem, mówiąc teraz o religii, ale zilustrować moją odpowiedź. Ja mu wierzę. Przede wszystkim dlatego, że jest bardzo dużo osób w historii alpinizmu, które nie mają dowodów na swoje przejścia. Jeśli powiem, że nie wierzę jemu, muszę skreślić też dokonania wielu naszych poprzedników. Są tacy, którzy depczą po Cesenie, a sami zrobili rzeczy, których nie są w stanie udowodnić. Jeśli zaczniemy od każdego wymagać świadectw, alpinizm jest skończony. Wiem, że wiele osób uważa, że te konkretne wejścia, jak Lhotse, mają taką wagę, że Tomo Cesen powinien był dostarczyć dowody. Też to rozumiem. Ale dla mnie jego słowo, że czegoś dokonał,

w momencie gdy nie ma dowodów, a istnieją tylko przypuszczenia, jest wystarczające.

Ale są zdjęcia, pewne poszlaki przeciw niemu, które wskazują.

To nie są dla mnie dowody. Nie świadczą one o tym, że kłamał, tylko że próbował dostarczyć więcej dowodów, niż było w rzeczywistości potrzeba. Zdecydowałem, że mu wierzę. Oczywiście istotnym powodem jest też to, że znam go osobiście i wiem, że jest osobą, która mogłaby zrobić te drogi. Dopóki nie będzie prawdziwego dowodu przeciwko niemu, będę mu wierzył. I tyle.

Chcę przy tym chwilę zostać, bo jesteś pierwszą spotkaną przeze mnie osobą, która tak twierdzi. Wielkie nazwiska, po rozmowach z nim i analizie tych dowo-



Start w Warianty Słoweńskie. Fot.: Jakub Radziejowski.

dów, mówili, że mu nie wierzą. Nie wiem, czy słyszałeś – niedawno *No Siesta* została powtórzona przez Marsigny'ego z partnerem. Powiedzieli, że nie ma możliwości, żeby on to zrobił solo w trochę ponad 12 godzin. Ich zdaniem, nie mógł tego zrobić tak szybko, bo nie może być tak znacząco lepszy od nich.

Dla mnie takie stwierdzenie jest jedynie dowodem na to, że oni nie mogą uwierzyć, że ktoś może być lepszy od nich. Jeśli na przykład Tomas Mrazek, który robi 8c on-sight, pojawiłby się gdzieś w roku 1985 i powiedział, że zrobił OS-em drogę, na której inni nie mogą utrzymać się na pierwszych trzech chwytach, co oni by powiedzieli – „To niemożliwe. Nikt na świecie nie może tego zrobić”. Dla mnie takie tłumaczenie jest głównie warte. Ro-

zumiam, że mu nie wierzą, ale to jeszcze nie jest dowód.

Ale nie wydaje ci się dziwne, że nikt nie widział tych przejść?

Zgadzam się. Ale czy to jest dowód?

Nie, ale sprawia, że masz ochotę zobaczyć jakieś dowody.

Skończmy to, to jest jak pytanie o wiarę. Wierzysz albo nie. Czy ktoś widział Mojżesza (sic!) chodzącego po wodzie? (Marko zdrowo już wkurzony i zaczyna mu się mieszać, chyba dlatego, że jego angielski nie jest najmocniejszy). Czy ktoś widział...

Ja osobiście też wierzę Cesenowi. On był moim bohaterem, nadal myślę,

że to niemożliwe, że to wszystko zmyślił. Naprawdę mu wierzę. Cieszę się, że słyszę od Ciebie, człowieka który go zna – to, że też mu wierzysz.

Postawmy sprawę jasno. Ja mu wierzę, ale wiem, że może to brzmieć naiwnie, bo chcę mu wierzyć. Ale też wiem, że są pewne wątpliwości. Jeśli pojawią się dowody, to oczywiście, przestanę.

Ale był w stanie te drogi zrobić?

Tak. Ale też jest możliwe, że usiadł gdzieś pod kamieniem a później powiedział: „O.K., zrobiłem”. On często popada w skrajności. Mógł zrobić cokolwiek. Ale nie stworzył historii z niczego. Czy ludzie jak Marsigny nie mają na swoim koncie takich wspinaczek, na które nie mają dowodów? Gdy ktoś przyjdzie i zacznie im zarzucać, że ich nie dokonali? Stawia to człowieka w sytuacji, w której musi się bronić, tworzyć dowody. Nawet w Słowenii byli ludzie, którzy usiłowali prowadzić jakieś śledztwa dotyczące całej kariery Cesena. Odkryli, że znaczna część jego przejść miała miejsce w poniedziałki, gdy zwykle nie ma zbyt wielu ludzi w górach. To prawda, że robił przejścia w poniedziałki, ale co z tego? Może lubił poniedziałki, gdy po weekendzie nie było dużo ludzi? Jedyne czego to dowodzi, to fakt, że jest inny, niż większość z nas.

W jakim sensie?

Przed wszystkim w relacjach z ludźmi. Teraz trochę się zmienił i jest bardziej towarzyski. ale wtedy był bardzo zamknięty. dla mnie stwierdzenie, że robił drogi w poniedziałki

nie dowodzi, że nie zrobił dróg, o których mówi, że zrobił.

Tak. ale to jest historia która prowokuje ludzi do myślenia.

Dla mnie nie. Dla mnie to zamknięty temat. Jeśli mówi, że zrobił, to zrobił. Lubię w nim to, że przestał o tym mówić, bronić się, czy cokolwiek w tym stylu. Zostawił decyzję ludziom – nawet jeśli niczego nie dokonał.

No tak, ale teraz sytuacja jest taka, że kwestionowane są wszystkie jego przejścia.

Tak, słyszałem o tym. Popatrz – ale jeśli przyjmiesz to jako podstawę twojej wersji wydarzeń, to nie zrobił nic. Ale kto to zaczął – media. Dla mnie to pieprzenie. Kto go stworzył? Media! I czekali aż do wydarzeń na Lhotse, żeby powiedzieć, że nie zrobił niczego? Trzeba było pytać o dowody przy jego pierwszej bardzo trudnej solówce. Ale pisali o jego wszystkich większych drogach. Powiedziałbym, że jeśli to prawda, że nic faktycznie nie zrobił trudnego, to wina leży po obu stronach – jego i mediów.

O.K. Idźmy więc dalej. Nie mogliśmy pominąć tego pytania. pojechałeś na Lhotse i wszedłeś na 7300 metrów?

Wyprawa dotarła dokładnie na 7350 m. Moja pierwsza lekcja była taka, że nie jestem taki kiepski, dałem radę dojść tak samo wysoko, jak wszyscy inni.

Jak zapewne wiesz, to też ważna ściana dla Polaków, były trzy wyprawy i na ko-



Marko Prezelj. Fot.: A. Paszczak.

niec zginął tam Kukuczka, przewspinałszy praktycznie całą ścianę. Jak tam było? To twój pierwszy wyjazd w Himalaje, i od razu na najtrudniejszą ścianę, ostatni problem XX wieku? Jak to odebrałeś? Czy było naprawdę tak trudno?

Próbowaliśmy najłatwiejszej linii na ścianie, Drogi Austriackiej, prowadzącej na Lhotse Shar. To była moja najgorsza wyprawa. Spędziłem w bazie 62 dni, przez większość czasu padał śnieg, było naprawdę źle. Rano było słonecznie, a po południu padało. Dobrze, że udało mi się to przetrwać i nawet nadal mam ochotę tam wrócić, ale nigdzie nie było gorzej.

Była wcześniej słoweńska wyprawa na południową Lhotse.

Tak, w 1981 roku, ale ja nie brałem w niej udziału, rok później dopiero zaczęło się na poważnie moje wspinanie.

Byłeś na Cho Oyu, a potem na Shisha Pangma, która wypadła słabiej, niż się spodziewałeś?

Nie mogę powiedzieć, że słabiej, bo niczego nie oczekiwałem. Raczej nazwałbym to moją pomyłką.

Rezultat był taki, że nie wspinałeś się tam i uznałeś, że wielkie wyprawy nie są czymś, co ci odpowiada.

Tak, generalnie tak. Zrobiliśmy 400 m kuluaru.

Zrobił go później Kurtyka.

Wyżej zobaczyłem, że decyzje, które zapadają na wyprawie, nie są takie, jakie ja bym potencjalnie podjął. Może podjąłbym dzisiaj inne, ale w każdym razie stwierdziłem, że chcę mieć swój udział w procesie decyzyjnym. Nie chcę być pionkiem, tylko grać i mieć wpływ na przebieg wydarzeń.

Czy czujesz, że mogliście skończyć tę drogę?

Byłem wystarczająco silny, moje doświadczenie wprawdzie trochę nie nadążało za moją formą fizyczną, ale warunki były dobre, pogoda niezła.

Czyli co, gdybyś miał lepszego partnera, to Kurtyka nie miałby pierwszego przejścia?

Heh, no może tak. W zasadzie nie potrzebowałem partnera, dałbym radę. Ale lider zdecydował, że wycofujemy się. I po czterestu (!) dniach opuściliśmy bazę.

Miałeś gorzkie odczucia związane z tą wyprawą?

Przyjąłem to jako lekcję.

A nie chciałeś powiedzieć „pieprzyć lidera” i po prostu pójść wyżej samemu?

Wtedy? W 1989, kiedy upłynął zaledwie rok od otwarcia Tybetu, i był on ciągle jeszcze trochę ziemią zakazaną dla obcokrajowców? Działanie tam samemu było raczej nie do pomyslenia, jak ucieczka z Polski swego czasu.

Dwa lata później pojechałeś z Andrejem Stremfeljem na Kangdzendzongę.

Tak, ale miałem rok przerwy, bo nie chciałem jeździć na wyprawy. On prosił, żebym jechał, w końcu się zgodziłem. Trochę trenowałem i złamałem nadgarstek, więc chciałem zrezygnować z wyjazdu, ale Stremfelj mocno mnie naciskał i dałem się przekonać. Trzy tygodnie przed wyjazdem zdjąłem gips, więc na początku trochę mnie bolało.

Stremfelj był na Shishy? To wtedy zobaczył, że jest z ciebie niezły zawodnik?

Być może, nie wiem. To on mnie przekonał do wyjazdu na Kangdzendzongę. On był takim głównym „motywatorem”. Byliśmy niezależną dwójką w dużym zespole. Inaczej nie chciałem w to wchodzić. On mnie zapewnił, że tak będzie, i faktycznie, wyjechaliśmy

z domu dziesięć dni po całej grupie. To było dobre, oni odwalili całą czarną robotę w Katmandu, załatwili tragarzy. My poszliśmy za nimi tylko z trzema Sierpami, naprawdę było przyjemnie. Spotkaliśmy się po 14 dniach od ich wyjazdu i 4 dni po naszym wyjeździe z domu. To było szybkie podejście. Tydzień po wyjeździe z domu zrobiliśmy pierwszą drogę, na 6250 m.

A jak poszło na Kangdzendzondze? Dościliście za to Złoty Czekan.

Ech, to osobna historia. Zginęło dwóch naszych kolegów z głównej wyprawy. Gdy wróciliśmy do domu, nie traktowaliśmy wyprawy jako sukcesu. Zresztą do tej pory do niej tak podchodzę. Zadzwonili do nas z Francji. To był pierwszy rok, gdy przyznawali Złoty Czekan. Powiedziałem, że nie mamy czasu ani pieniędzy żeby jechać. Dziennikarz zaczął się zastanawiać i powiedział, że zadzwoni następnego dnia. Zadzwoił znowu, pytał czy namyśliliśmy się już. Ja znowu chciałem, żeby się odczepił, a on swoje, żeby pomyśleć, i że znów będzie dzwonił. Gdy po raz kolejny zadzwonił, a ja znowu chciałem go zbyć, powiedział, że zapłacą za bilet na samolot, byle byśmy tylko przyjechali, bo w zasadzie już wygraliśmy tę nagrodę. Nie wydawało nam się, żebyśmy dokonali czegoś szczególnego. Nadal tak uważam. Najchętniej oddałbym im tę nagrodę, bo nie podoba mi się to, co robią z nią teraz. Uważam, że zniszczyli całą koncepcję.

Ale wtedy było chyba inaczej?

O.K., jasne, ale zrobiłbym to po to, żeby pokazać, że się z nimi nie zgadzam, że nie jestem dumny z tego, że ją dostaliśmy.

Ale zaczął to Marmier, a on już nie jest związany z kapitułą przyznającą nagrody¹. To są teraz zupełnie inni ludzie.

Jasne, ale dla wielu osób, które nie znają szczegółów, to jest cały czas ta sama kapituła i nagroda. Ty i jeszcze parę osób wie, że to nie ta sama kapituła, ale kto jeszcze?

Dobrze, powiedz lepiej jak wyglądało samo wspinanie? Jakie było?

Andrej jest dziesięć lat starszy ode mnie, był bardziej doświadczony. Wiedział więcej, więc bardziej się denerwował. Ja byłem młody i chciałem pokazać, co potrafię. Miałem szansę udowodnić to na Shisha Pangma. Wziąłem sobie rok wolnego i wspinalem się tylko w Alpach Słoweńskich. Jak już pojechałem, chciałem wszystkim starym wyjadaczom pokazać, do czego jestem zdolny. I on o tym wiedział. Zawsze, gdy widział przed sobą trudniejszy technicznie teren, mówił: „zobacz, interesujące wspinanie przed nami”, ja odpowiadałem zwykle „dawaj linę” – i prowadziłem. W łatwiejszym terenie on prowadził, żebym nie narzekał. To dobrze działało.

Ile czasu zajęła wam całość?

Raz, dwa, trzy, cztery. piątego dnia byliśmy na szczycie. Wszystko w stylu alpejskim: ześleliśmy w jeden dzień.

¹ Jean-Claude Marmier wystąpił w 1999 z kapituły na znak protestu przeciw przyznaniu kontrowersyjnej nagrody Złotego Czekana Lionelowi Daudet i Sebastianowi Foissac.

Źródło:
http://www.alpinist.com/the_climbing_life/notes.php

To była twoja pierwsza duża droga w Himalajach, nie denerwowałeś się?

Nie, zupełnie nie. Bardziej nerwowy byłem na Cho Oyu. Tu wiedziałem, że wspinam się z człowiekiem, a nie z legendą. Wiedziałem, że mogę zrobić tę drogę. Miałem też doświadczenie z dużą wysokością wyniesione z Cho Oyu, tam byłem na 8200 m n.p.m. znałem swoje możliwości w tym temacie, granica 8000 metrów nie była dla mnie linią śmierci, ani niczym, czego nie można przekroczyć.

A co szczególnie pamiętasz z drogi? Najbardziej?

Straciłem wszystkie filmy ze slajdami. Mam tylko ten, który był w aparacie. Na ostatnim biwaku zostawiliśmy namiot z całym sprzętem biwakowym, do gotowania i jednym plecakiem – moim. Wszystkie filmy zostały. Jeszcze powinny tam leżeć. To dla mnie spora strata.

Bo schodziliście drogą normalną?

Nie, najpierw drogą polską, a potem zrobiliśmy jakiś własny wariant, bo pogubiliśmy się w ciemności. Nie mieliśmy oczywiście tego wariantu robić.

Ale nic dramatycznego się nie wydarzyło?

Zejsście było dość dramatyczne, bo nie mieliśmy sprzętu biwakowego, jedzenia, wody, gazu. Schodziliśmy ze szczytu w bliżej nieokreślonym kierunku.

Nie mogliście wziąć trochę jedzenia?



Szóstkowa ścianka na pierwszym wyciągu Wariantów Słoweńskich.
Fot.: Jakub Radziejowski.

Gdzie? Na szczycie? Wzięliśmy trochę, ale na szczycie byliśmy koło czwartej i do tego czasu zdążyliśmy wypić ten litr picia i zjeść tych kilka batoników. Droga z ostatniego biwaku do rozstawionego przez przyjaciół namiotu na drodze normalnej zajęła nam około 23 godzin. Mieliśmy halucynacje i takie tam historie.

Co widziałeś?

Ech, dużo namiotów, wielki camp.

Nagie kobiety?

Nie do końca – widziałem przyjaciela, który dawał mi piwo i gorącą herbatę, a ja nie mogłem się zdecydować co wybrać: zimne czy gorące.

To była twoja pierwsza wielka wspinaczka, ale czy Cho Oyu też było tak ważne?

Jasne. Każda wspinaczka jest ważna. Ale obserwatorzy zawsze oceniają je przez pryzmat zdobycia szczytu. Sukces jest, gdy go zdobędziesz. Dla mnie nawet te wspinaczki, gdy nie skończyłem drogi są ważne. Bez Lhotse Shar, Cho Oyu czy Shisha Pangma nie byłoby następnych wspinaczek. Taka ocena: „co jest najważniejsze”, to typowe podejście dziennikarskie. To jak pytanie ojca piętnaściorga dzieci, które z nich jest najlepsze, albo które kocha najbardziej.

W 1993 wspiąłeś się na Wyoming Sheep Ranch. Pamiętam, że czytałem w amerykańskiej prasie, że „przyjechało dwóch

Słoweńców, i jeden z nich, młody partner Silvo Karo, stwierdził, że to nie było takie trudne”.

To prawda, nadal tak myślę. Ta droga mi się nie podobała. Przejście jej było bardziej jak praca, wiszenie, a nie wspinanie.

Czyli naprawdę to powiedziałeś?

Tak.

Bo oni byli zszokowani, że przyjechało jakichś dwóch Słoweńców, nie mają pojęcia, jak bardzo powinno być trudno, robią najcięższą drogę i mówią „e tam”.

Tak naprawdę podczas zejścia spotkaliśmy faceta, który zrobił drogę tuż obok nas, »New Jersey Turn Pike«. Pracował jako reporter dla telewizji, robili reportaże o gościu, który robił Salathe bez młotka. Spotkał nas z wielkimi worami i spytał, co zrobiliśmy. Silvo aż podskakiwał, gdy mówił „Wyoming Sheep Ranch”, ja tylko stwierdziłem „Wyoming Shit Ranch” i stąd wzięła się ta historia.

Więc zupełnie ci się nie podobała?

Nie, zupełnie. Dla mnie haczenie, ale to osobista opinia – nie chcę nikogo urazić – to nie wspinanie. To nie jest naturalne. Oczywiście wspinam się też hakowo, podhaczam, ale to nie jest to, czego szukam. Gdy używam sztucznych ułatwień, to jest pewien kompromis. Nie musisz być dobrym wspinaczem, żeby dobrze wspinąć się hakowo.

Hmm..., to ciekawe spostrzeżenie. A jak ciężkie to było dla ciebie? Wtedy to była, jak to się mówi, najtrudniejsza droga?

Tak mówili. Chwilami było to przerażające. Gdyby w pewnym momencie popełnić błąd, loty mogłyby być długie. Ale nie odpadliśmy, więc ci nie powiem jak długie, musiałbyś sam spróbować. Nie powiem ci też, jak źle mogłoby być – musiałbyś sam spróbować.

Hehe, tak. A chciałbyś wrócić na El Capitan?

Tak, ale powspinać się klasycznie.

Czy Melungtse² było w jakiś sposób ważne?

Tak, to było swego rodzaju punktem zwrotnym i motywacją, żeby pojechać w ciepłe miejsce – Yosemite. Gdzie jest fantastycznie, tylko po prostu wybrałem złą drogę. Trzeba było wspinąć się klasycznie. Na Melungtse miałem już dosyć zimna, to pchnęło mnie w Yosemite. Tam też było źle, więc pojechałem do Patagonii, gdzie było jeszcze gorzej niż w Himalajach – zimniej, mniej ludzi. Co jeszcze nie podobało mi się w Yosemitech, to uczucie, że jesteś w zoo. Gdy rano budziłem się w ścianie, ciągle słyszałem klaksony autobusów z turystami. Całe dni widzi się tam ludzi z lornetkami, którzy gapią się na ciebie, i jedyne, co masz ochotę zrobić, to kazać im się odpierdolić. Zdecydowanie nie było to doświadczenie zbyt alpejskie, tylko coś, co mnie

² 1992 – Pierwsze wejście na główny szczyt Melungtse (7181 m) wschodnią ścianą w stylu alpejskim z Andrejem Stremfeljem.
(źródło: www.risk.ru)

nieustająco wkurzało. Nie chcę powiedzieć, że żaluję, ale nie sprawiło mi to przyjemności. Od tamtej pory nie poszedłem celowo na żadną hakową drogę. No chyba że po to, żeby ją odhaczyć.

Pojechałeś znów z Andrejem Stremfeljem do Patagonii na Torre Norte³. Co sądzisz o Patagonii? Dla wielu wspinaczy jest to miejsce obowiązkowej wizyty.

Dla mnie też było oczywiste, że muszę tam pojechać po pobycie w Yosemitech. Wiele słyszałem o piekielnych warunkach. Były ciężkie, ale nie niemożliwe do wspinania. Sporo zno-

wu dowiedziałem się o legendach. Mówi się wiele niestworzonych rzeczy o niektórych miejscach. A gdy te legendy samemu zweryfikujesz, okazuje się jaki jest twój poziom odporności na nie. Tam jest zła pogoda, ale zawsze da się coś zrobić. Wiatr jest silny, liny czasem „związają” do góry, śnieg pada z dołu.

Rozmawiałeś z Silvo Karo i Janezem Jeglicem przed wyjazdem? Oni stali się wtedy sławni.

Tak, oni są swego rodzaju Bogami Patagonii. Dla mnie nie było już wtedy legend, oni po prostu dobrze robili swoje.

³ 1995 – „Born under the Wondering Star” nowa droga na wschodniej ścianie Torre Norte del Paine, Chile.
(źródło: www.risk.ru)

c. d. n.



Fot.: A. Paszczak

Jak zdobywałem koronę Ziemi część I — Elbrus

Leżę w śniegu na zboczu, dookoła mgła, jakieś kamole, zachmurzone niebo. Brzęk ciszy w uszach. Dookoła pusto. Nie ma nikogo. Nie ma nic – nawet wiatr nie chce wiać. Nie wiadomo dokąd iść. Wszyscy poszli, a ja zostałem – leżąc w śniegu. Pić się chce, ale herbata jest w plecaku, a na nim akurat leżę. Niewykonalne. Zresztą i tak leżę, jest mi dobrze, ciepło, więc nie ma sensu się ruszać. Poza tym nie chce mi się i nie mam siły na nic. Więc to tak wygląda... Jak w książkach o Alpinistach. Człowiek zdycha na kupie lodu i kamieni, nie wiadomo po cholere? Puszczam sobie jeszcze raz film z ostatniego tygodnia, żeby zabić czas.

Poniedziałek

*Przestało serce mocno bić
I zniknął strach
I znowu w góry muszę iść
Jak w pięknych snach*

Kiedy Zygmunt przysłał zaproszenie napisane cyrylicą na maszynie „pabieda” rok 1932, wiedziałem jedno: Kaukaz. Dzwonię do Pawła.

Środa

Przesiadkowy port lotniczy w Moskwie. Dookoła zawodnicy w karakułowych czapach, kobieciny w chustach, umorusane dzieciaki. Brakuje tylko ptactwa domowego w klatkach. Uwagę przykuwa olbrzymia kolejka ludzi dzierżących w dłoniach siaty w kratę. Wąż ludzki kończy się w okienku z napisem „Opakowka Bagaża”, gdzie owija się owe siaty szarym papierem i związuje konopnym sznurkiem do snopowiązałek.

Tak przygotowany bagaż nadaje się już do dalszego transportu lotniczego.

IŁ 86 przerzuca nas z tym całym inwentarzem do Mineralnych Wód, gdzie czeka na nas Misza. Wygląd Miszy nie wzbudza zaufania, ale gdy pada hasło „Zygmunt” rozluźniamy się i wsiadamy do zdezelowanego vana. Wehikuł co chwilę zatrzymuje się i Miszka kupuje od babulek „masło”, czyli olej samochodowy – bo wóz masywnie „bierze” olej. Jedziemy doliną Adyl-su omijając krowy, stada koni i pilnujących ich dżygitów. Dookoła postkomunistyczny syf. Opuszczone przez Boga i ludzi fabryki. Małe wioski, od czasu do czasu dom przypominający fortecę. To wpływy gruzińskie, gdzie żywe wciąż są zwyczaje „wendetty”. Zarówno Kabardyno-Balkarzy jak i Gruzini mają swe żelazne zasady: wendetta nie obejmuje kobiet i dzieci. Po kilku godzinach docieramy do turbazy. Łojanci z Łotwy witają nas serdecznie. Przybijamy misia z Zygmuntem. Ośrodek jest klasyczny. Drewniane domki, stołówka, magazyny i latryna. Kabiny bez drzwi, kible narciarskie. Wszystko na widoku.

Czwartek

*Wnet runął lęku ciężki mur
I ustał dreszcz
I nie ma dla mnie takich dróg
Gdzie nie ma wejść*

Zygmunt zarządza dzień kondycyjny. Bierzymy z Pawłem szpej i idziemy na lodowiec Kaszka-taž. W oddali majaczą Góry Wysokie, biel lodowców – cel, ku któremu zmierzamy całe życie. Bliski i nieosiągalny. Na wyciągnięcie ręki, ale kiedy podchodzisz – okazuje się, że jest jeszcze dalej i jest jesz-



Zielonaja Gostinica.

Dzisiaj przed nami poważniejsze zadanie. Mamy dotrzeć do Zielonej Gostinicy – ostatniego zielonego miejsca z wodą przed Lodowcem Dżunga Tał. Tam mamy zabiwakować i następnego dnia wejść na Guma-czi Pik. Pakujemy namiot od Łotyszy, maszynkę, szturmężarcie. Obładowani jak wielbłądy ruszamy piaszczystą drogą. Mijamy

cze większy, ogromny, że cię przerasta, że nie dasz rady. Podejście do lodowca wydaje się być bez końca. Pora przyzwyczaić się do odległości. W końcu docieramy na miejsce. Siedzimy. Słońce. Bezruch. Dookoła kolory lodu. Jezu, nie wiedziałem, że tyle ich jest. Niebieski chłód w szczelinach potem topaz i szmaragd. Na powierzchni paleta brązów, czekolada i orzechy. Jak w Zielonej Budce. Wieczorem wracamy max zmęczeni i zadowoleni. Akurat na pulpety z mamałygą. Znacie te stołówki, w których stoły pokryte są ceratą i świeżo przeciągnięte śmierdzącą szmatą. Jeszcze wilgotną, z zatopionymi okruszkami chleba, które zostają na powierzchni ceraty. Aluminiowe sztućce.

Sobota

*Wśród nieprzetartych jeszcze dróg
Jest moja gdzieś
I wiedzie przez wysoki próg
Tam trzeba przejść*

ostatni ślad bytności ludzkiej – Alpin Łagier i babuszkę sprzedającą podpłomyki. Ciężar plecaków wbija nas w glebę. Droga dłuży się niemiłosiernie. Zrazu szeroka, zamienia się w ścieżkę lawirującą między głazami nad urwiskiem rzeki. Naszym oczom ukazują się księżycowe krajobrazy. Niekończące się piarżyska, wielkie jeziora, cyrki polodowcowe. Wszystko jest przerysowane, ma inna skalę, wyolbrzymioną – nie do ogarnięcia. Nie mogę się przestawić. Ogrom poraża mnie. Jak maliniak to jak dom, jak jeziorko to jak Śniardwy, nic nie jest małe. Idziemy tak cały dzień, aż w końcu docieramy do jeziorka otoczonego zielonym trawnikiem.

Przed nami zbocza moren prowadzące na lodowiec. Jak linie przecinające się w nieskończonej bieli. Przestrzeń Riemana. Nie ma prostych równoległych. Wariactwo perspektywy.

Rozbicie namiotu przypomina scenę z „Apollo 13” zaraz po awarii. Okazuje się, że mamy szmatę, ale nie mamy szkieletu. Konstrukcję stawiamy przy pomocy kij-

ków i kamieni. Jest już ciemno, więc zapadamy w płytki letarg. Mamy wstać o trzeciej. Będzie ciężko. Obok biwakują Słowacy. Oni też idą. Nagle budzę się w środku nocy. Słyszę dźwięki nad moją głową. Wiedziałem zawsze, że kiedyś w moim życiu nastąpi scena z horroru. Niezidentyfikowany dźwięk może należeć tylko do demona, ko-

goś z innego wymiaru, z zaświatów. Boję się oddychać, ale w końcu otwieram oczy. Nade mną wielka morda, rogi. Wrzask. Mam stan przedzawałowy, migotanie komór i początek wylewu. To cholerna krowa. Szlag, skąd tu krowa?

Słowacy budzą się i ubierają. Rozmawiamy z Pawłem. Postanawiamy pospać do czwartej. Słowacy wychodzą.

Niedziela

*Tam zimnych wodospadów huk
I groźny świat
I chroni tajemniczy bóg
Nieznany ślad*

Wstajemy o piątą. Wychodzimy o szóstej. Słowacy hen na końcu lodowca. Pokonujemy moreny o wysokości zda się Zamarłej Turni. Słońce praży, lodowiec się topi. Spijamy wodę ze strumyczków, jemy śnieg. Nie wiążemy się. Po cholere? Szczeliny widać, więc idziemy. Ślady butów, szczyty coraz bliższe, coraz bardziej realne, a my



Alpin Łagier.

idziemy. Mijamy szczeliny, Słowacy na grani, a my idziemy. Zaczyna się chmurzyć, a my idziemy.

– Pawełek, trzeba spieprzać. Zaraz dupnie.

Słowacy stoją, a my idziemy – ale z powrotem. Zaczyna padać. Słowacy – małe czarne punkciki – zawracają. Dostaną tam w dupę. Dochodzimy do polanki, a tu łup... Potop. Dobiegamy do chatki nad jeziorkiem. Puk, puk, wchodzimy w półmrok. Cisza, dach cieknie. Przy stole siedzi ogromny facio. Rękę ma jak patelnię i widać, że dla wprawy codziennie stacza walkę z niedźwiedziem. Trzyma potłuczone lustro i goli się starannie brzytwą. Nie patrzy na nas, nic nie mówi. Czekolada wydobyta z plecaka zawiązuje nić rozmowy, załazek porozumienia. Walery nastawia herbatę i częstuje limonkami. Jego babka była Polką. Z głębi chaty wypełzają jego dwaj kumple. Siedzimy i pijemy. Dobrze, że nie wstaliśmy rano – jednak stare lisy kity nie moczą. Trzeba przeczekać złą pogodę.



Alpin Łagier.

Wtorek

Grupa zbiera się i pakuje do awtabusa. Ruszamy na Elbrus. Awtabus zatrzymuje się przy każdym źródle wody (czytaj: rzeka, strumyk), pomocnik szofera nabiera jej w kubły i wlewa do silnika... Wot technika! Silnik na wodę! Na podejściu z kolejki do beczek zaczyna się robić wysokogórsko. Krajobraz wulkaniczny – wszędzie tak przez godzinę, dwie. Obozowisko „Beczki” to po prostu ogromne Beczki, w których się mieszka.

Środa

Dochodzimy do schronu „Prijut 11-yj”, który przypomina Kiosk atomowej łodzi podwodnej z filmu „K-33, the widowma-

ker”. Zostawiamy tam graty i idziemy kondycyjnie do Skał Pastuchowa – ok. 4500 n.p.m. Zaczynamy odczuwać skutki wysokości, co przy naszej jednodniowej aklimatyzacji wcale nas nie dziwi. Nie wiemy jeszcze, że za parę godzin wbiegniemy tu galopem po Amerykanina, który polecie ze 300 metrów po stoku, złamie rękę i będzie w delirce. Jego kumple nie ruszą na pomoc, stwierdzając, że jutro idą na pik i muszą być wypoczęci. Pobiegniemy tam z Zygmuntem i Pawłem i znieśliśmy niefortunnego wspinacza w kołysce z lin.

Czwartek

Godz. 1.00

Pobudka. Jestem wykorbiony wcześniejszą akcją i głodny, bo skończyło się żarcie i jedziemy na tabletkach „plussz”.

Godz. 11.00

Teoretycznie powinienem być na szczycie, a ja jeszcze przed przełęczą.

Godz. 11.45

Spotykam Amerykanów w świetnych humorach.

Godz. 12.00

Jestem na przełęczy. Z piku schodzi Zygmunt.

– Maciek, ty dopiero tutaj, dobrze się czujesz?

– Spoko, Zygmunt. Odpocznę w tej chatce i idę dalej na pik.

– Maciek, tu nie ma żadnej chatki.

Bierze mnie za kołnierza i sprowadza w dół. Łeb mi pęka. Rzygać się chce. Czekam w schronie na Pawła. Wraca późno, a jego twarz wygląda jakby chciał odpalić papierosa palnikiem Bunsena. Zasnął na piku – obudzili go dobrzy ludzie po kilku godzinach. Postanawia zostać ze mną

jeszcze jeden dzień. Jutro zamierzam spróbować ponownie. Łotysze schodzą, my idziemy spać. Najgorzej, że nie ma co jeść.

Piątek

Idę z inną amerykańską grupą. Ratrak za 8 baksów podrzuca nas do Skał Pastuchowa. Tempo jest równe, czuję się dobrze. Mijamy przełęcz i idziemy na szczyt. Teraz musi się udać, byle by nie wypaść z rytmu. Niestety, na 5300

siadamy na odpoczynek. Już się nie podnoszę.. Fizycznie dałbym radę, ale mózg nie chce wydać rozkazu. Kładę się w śniegu. Odpływam.

– Maciek, chodź, nie wolno ci tu zostawać.

– Idźcie, ja odpocznę i was dogonię.

Leżę i od czasu do czasu mam przeblyski świadomości w sensie kontaktu z realnym światem. Moja wola legła w prochu, narasta gniew, żal, złość na górę, na śnieg, na ludzi i na kamole, na których zdycham. Po co to wszystko – pytam się znowu, po co tu leżeć. Wiem, że już nie wstanę, że się nie zmuszę, że nie mam imperatywu, że mi to wisi. Myślę o domu, o Polsce i o Rodzinie. To mnie jakoś nakręca, że jest po co walczyć. A do cholery z tym! Stopień wkurwienia osiąga maksimum, udaje mi się przekręcić ciało i zaczynam się zsuwać. Trochę pełzam, trochę na czworakach. Poruszam się w dół. Na chwilę wiatr rozprasza mgłę i widzę przełęcz. Co chwi-



Elbrus.

la przewracam się, czuję mocne uderzenie w tył głowy, mam powidok spawacza



Paweł w Beczkach po zejściu.

przed oczami. Idę, pełzam, zsuwam, śmieję się i płaczę. Padam. Delirka. Nie wiem, jak długo to trwa, zanim znajduje mnie student z Rostowa. Rezygnuje z wejścia i sprowadza mnie do schronu. Paweł siedzi na zewnątrz i czeka na mnie. Twarz w bandażach. Tutenhamon, normalnie. Odpoczywamy, pakujemy się i schodzimy powoli do beczek. Złość mi już przeszła, jest żal i smutek. Gdyby nie samolot, to zostałbym i spróbował jeszcze raz. Patrzę na szczyty Elbrusa. Czy tu jeszcze wrócę? Muszę – przecież to korona Ziemi!

*I patrzę w góry prosto znów
Mej drogi cel
I znowu wierzę w szczerłość słów
I w śniegu biel*

Sobota

Godz. 2.30 Beczki, noc. Budzi nas krótkie trzęsienie ziemi.

*Jak po naszymu to wypiliśmy niewiele
To nie z kieliszka
No powiedz Miszka
I gdyby wódkę nie pędzono z jakichś śmieci
To nie zaszkodziłby i ten literek trzeci*

Dzisiaj jakaś okrągła rocznica alpinizmu radzieckiego. Dochodzimy do kolejki linowej. Budynek jest opuszczony przez Boga i ludzi. Dookoła walają się puste flaszki po Stolicznej. Na tle głównej grani Kaukazu stolik z resztkami po imprezie.

– Tu odbył się sympozjon – stwierdził Paweł.

Nigdzie żywej duszy. Wsiadamy do wagonika i czekamy, bo możemy tylko czekać. Nagle wagonik uruchomiony tajem-



Wspin na Kaszka-Taż.

niczą siłą rusza w dół. Zdziwieni patrzymy na siebie.

– Wiesz, Maciek, w tym kraju wszystkim steruje Centralny Komputer.

Po krótkiej podróży w dół wpadamy do sklepiku – głodni. Niestety, są tylko lody. Zajadamy więc morożonoje i czekamy na awtabus. W końcu przyjeżdża. Załoga awtabusa składa się z czterech osób: informacyjonaja żeńscina, która zna na pamięć wszystkie połączenia autobusowe w Kabardyno-Bałkarii i Inguszetii, właściwy driver, pomocnik drivera, który obsługuje przyciski otwierania drzwi, (ale tylko tylnych) i kontroler (do tego osobnika wrócę). Przednia szyba ma biegnący przez środek dzielnik. Kontroler siedzi przy kierowcy na krzeselku skrojonym ze stółki ośrodka czasowego dla spawaczy im. Pawki Morozowa. Klasyczny model krzesła zaprojektowany w Państwowym

Zakładzie Wzornictwa Przemysłowego: nóżki z wygiętych stalowych gazrurek i ceratowe siedzenie z wyłazłąką gąbką. Kontroler ma włosy czarne, kręcone, jak przystało na Dżygita. Do tego piękny wąs. Głowę zdobi bejzbolowa czapeczka z napisem „Dynamo wpierjod” i zakupione od Wietnamczyków na bazarze w Dreźnie, a następnie przeschmuglowane przez Bułgarię, Krym i Gruzję, okulary przeciwsłoneczne typu „Trzmiel”, z maleńką naklejką w barwach Italii w rogu. Odziany jest na sportowo w dresik kreszowy i laczki gumowe „Palmara”.

*Pierwszy wypiliśmy w kąciku koło lady
To był początek, jak gdyby zwiady,
A trzeci w parku, za zakrętem koło urny,
Lecz nie pamiętam, film się urwał durny.*

Cała załoga jest zapruta na maksa. Droga natomiast klasy tej do Moka – autobus rozwijał tam prędkość rzędu 80 km/h. Dodam, że jest z górki. Kierowca ma świetną zabawę, kontroler kamienną twarz. Śmiejemy się, ale jest to śmiech z rodzaju tych na roller-coasterze – aby organizm odreagował i zagłuszył strach. Mijamy nasze miejsce wysiadki. Paweł krzyczy:

– Staaać

*Ja nucę sobie Okudżawę:
Zdjes astanowki niet
A mnie pażalusta
Szafior w awtabusje moj lu-
czszyj drug...*

Niedziela

Już Moskwa. Szeremietiewo 2. Wszędzie smród jak w rumuńskim wagonie. Chcemy przebukować bilety na wcześniejszy lot, ale to nie możliwe, bo jak objaśniła Pani w okienku:

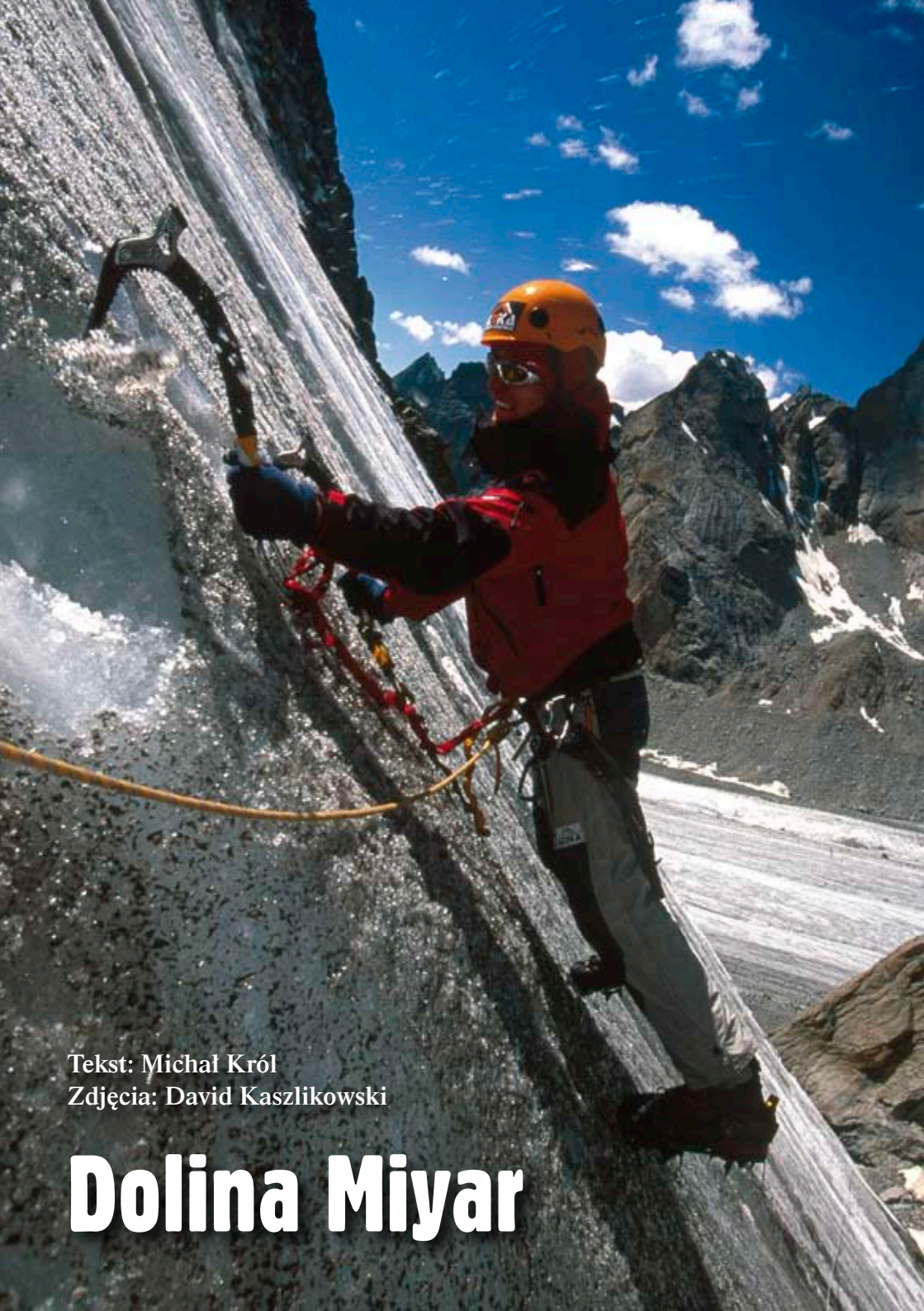
– Kampjutier nie rabotajet.
– Jak to nie rabotajet – pytam zdziwiony.
– Prosta, nie-ra-bo-ta-jet.
Trzask zasuwanego okienka...

*I choć minęło wiele lat
Pamiętam dziś
Że tu żegnałem stary świat
By w nowy iść
W tym dniu szeptała woda mi
Tu szczęścia ślad
Który to był z tych dawnych dni?
Ach środa, tak.*

Przyp. Autora: w tekście wykorzystano fragmenty utworów Aloszy Awdiejewa.



Awtabus.



Tekst: Michał Król
Zdjęcia: David Kaszlikowski

Dolina Miyar

Dolinę Miyar poznano i odkryto 1991 roku, kiedy to ekspedycja Paola Vitaliego dotarła do górnej części lodowca Tawa, nad którym szczyty i okoliczne turnice przypominały Tran-go Towers. Niestłuchany potencjał eksploracyjny zainteresował włoską wyprawę. Na szczególną uwagę zasługiwała przede wszystkim ogromna dziewicza wieża o wysokości około 900 m – Neverseen Tower. Z powodu załamania się pogody Paolo Vitali zawrócił z górnej części ściany. Szczyt pozostał nie zdobyty. Rok później inny wybitny włoski wspinacz – Massimo Marcheggiani – ukończył drogę oraz zdobył kolejne dwa dziewicze szczyty w Tawie. Wyprawa nasza była pierwszą polską ekspedycją działającą w tym mało poznanym rejonie Himalajów. W tak oddalonym zakątku liczyć mogliśmy tylko na siebie.

Cała dolina ma około 100 km długości. Zaczyna się od wioski Udaipur na wysokości 2600 m n.p.m., a kończy na Padum, przez Przełęcz Kang-La 5350 m n.p.m. Po trzydniowej wędrówce wśród dzikich koni i jaków odczuwamy tu bliskość natury, spotęgowaną dodatkowo przez piękne otoczenie. Na wys. 3980 m n.p.m. rozbijamy bazę główną. Nasi poganiacze z końmi wracają do wioski, zaś mnie i Davida czeka kilkudniowy wahadłowy transport w wyższe partie gór. Po założeniu bazy wysuniętej na Lodowcu Tawa (5000 m n.p.m.), w końcu możemy nacieszyć się widokiem naszej długoczekiwanej dziewiczej turnicy, która jest naszym głównym celem.

W domu, przed wyjazdem, nakreśliłem na zdjęciu, jak to stwierdził David „pół żartem, pół serio”, linię naszej wspinaczki. Jednak po dokładnej analizie ściany „na żywo”, zauważyliśmy, jak słabo

jest urzeźbiona i bez większego namysłu postanowiliśmy zrezygnować z ciężkiego żelastwa (potrąla, sprzętu do hakówek). Zgodnie z przyjętym planem opuściliśmy nasz namiot i ruszyliśmy w ścianę na wstępny rekonesans. Po ok. 2 godzinach podejścia, po niezbyt trudnych, ale stromych polach lodowych, doszliśmy pod ścianę. Pierwszym napotkanym problemem, z którym musieliśmy się uporać, była dość szeroka szczelina brzeżna, z ogromnym okapem lodowym, pod którym musieliśmy przetraversować. Pierwszy wyciąg przemknęliśmy bez asekuracji, David nawet z jedną dziabą, aż pod mikstowe spiętrzenie kolejnego wyciągu. Tu związaaliśmy się drugą liną i zmieniliśmy się na prowadzenie. Kolejny wyciąg to lodowy trawers z wejściem w ok. 30-metrową rysę wylaną lodem, kończącą się na półce. W tym dniu zawieszamy ok. 200 m poręczówek i wracamy do bazy. Podczas nocnych rozmów w naszym małym namiocie na temat



Przeprawa przez strumień w górnej części dol. Miyar.



Michał przeprawia się z użyciem tyrolki nad rzeką Miyar.



Mamy rest day, jesteśmy na lodowcu Tawa w bazie wysuniętej na wysokości 5000m (w tle nienazwany szczyt).

sprzętu i stylu, w jakim będziemy kończyć drogę, ustaliliśmy z Davidem, że wygodniej nam będzie, jeśli ja będę prowadził odcinki mikstowe, a David skalne. Dzięki takiemu rozwiązaniu będziemy mogli zabrać mniej sprzętu; znacznie zwiększy się natomiast sprawność i szybkość pokonywania drogi.

Skończymy w stylu alpejskim! Taka była nasza ostateczna decyzja.

O godz. 4 nad ranem wychodzę z namiotu i próbuję rozpalić naszą zamarzniętą maszynkę. David ma szczęście – po raz kolejny wygrywa ciepły śpiwór. Pakujemy kilka batonów, puchówki i wodę. Godzinę później, z włączonymi czołówkami, podchodzimy lodowcem w kierunku ściany. W południe jesteśmy pod pięknym mikstowym odcinkiem, czekającym, aż go poprowadzę. Tego typu wspinanie przywołuje miłe wspomnienia naszych Tatrzańskich wspinaczek. Czuję się w tym terenie naprawdę pewnie. Lodowa rynna, a na końcu ścianka i mała przewieszka,

przez którą wypelzam. Wyceniam ją na M6. Kolejne wyciągi w pięknych rysach prowadzi David. Widać, że jest zadowolony z naszej umowy. Po południu dochodzimy do 300 m rynny lodowej, którą mam tylko dla siebie. Podczas prowadzenia, spod moich dziab odpadają bryły lodu i pędzą z ogromną prędkością w kierunku Davida. Słońce operuje coraz mocniej, kiedy to z kopuły szczytowej wytapia się wielki głaz, który David przyjmuje na przedramię. Z dołu słychać wrzask..

– Co jest grane? – pomyślałem..

Już widzę przed sobą ten nieszczęsny widok: Davida ze złamaną ręką.

Po kilku minutach, które trwały wiecznie, w końcu krzyczy:

– O.K. Nie złamana! Możesz napierać.

Następne wyciągi należą do niego. Powoli zaczyna się ściemniać, a my dopiero jesteśmy na przełęczce. Przed nami jeszcze rysa, która jest ostatnim



Od lewej Neverseen Tower, wyższy po prawej - nasz cel Lotos Peak.

skalnym fragmentem drogi. Później tylko śnieżno-lodowa grań. O godz. 21:45 stajemy na szczycie. Wokół cisza i spokój. Niebo z milionem gwiazd i księżycem biją ostrym światłem w naszą stronę. W jeden z głazów wbijamy jedynekę i zawieszamy na niej buteleczkę z wpisem pierwszych zdobywców. Czas się zwijać. Tempo zjazdów wyraźnie spadło. Przekładanie stanowisk, klinowanie lin, zabiera czas i siły. O godzinie 8 rano stajemy pod ścianą. Zmęczeni, powolnym krokiem, schodzimy w kierunku namiotu. Od czasu do czasu zatrzymując się na 10-cio minutową drzemkę..

Pobyty w dolinie Miyar dobiegł końca. Za naszymi plecami powoli chowają się szczyty, lecz pozostały w pamięci ściany nie zdobyte.

Z nadzieją, że tu kiedyś wrócimy...

Nazwę szczytu zaczerpnęliśmy od świętego kwiatu hinduizmu i buddyzmu, Lotos Peak 5630 m n.p.m. VIII-, M6, lód 80st., 750 m



Sponsorzy główni:
PZA, Alvika, Tendon

Sponsorzy wspierający:
Lhotse, Marabut, Fabryka Farb i Lakierów „Śnieżka”, Miasto Nowy Targ, Montano, Hutrownia Fatra.



Okolice bazy, wysokość 4000m., ogrzewamy się nad ogniskiem z łajna jaków.



Godzina 3. w nocy, rosół na śniadanie, chwilę przed atakiem na szczyt.

ALPINE INTRO RECOLLECTIONS

Tekst i zdjęcia: Lindsay Griffin

Ci, którzy czytali klasyczne autobiografie wielkich alpinistów: Bonattiego, Terraya, Desmaisona i innych, zapamiętają, że podczas ich pierwszego sezonu alpejskiego, jedna wielka przygoda goniła następną. Każdy z nich kilkakrotnie cudem uniknął śmierci, najwyraźniej jednak wnioski wyciągnięte z tych ciężkich prób pozwoliły im przetrwać i kontynuować legendarne kariery. Mój pierwszy sezon wyglądał podobnie, chociaż później wszelkie podobieństwo się

skończyło. Zmierzałem w góry pełen niespotykanej dziś naiwności. Moi partnerzy, Tom i Pete, przeczytali jednak wszystkie odpowiednie książki i byli już kiedyś w górach. Dla mnie byli doświadczonymi alpinistami, a Pete, na dowód swego obycia z górami, miał odmrożenia.

Tego lata mieszkaliśmy w Biolay – dzielnicy nędzy przeznaczonej dla splukanych wspinaczy z Anglii i Europy Wschodniej.



To był ostatni rok tego historycznego, darmowego obozowiska. Pod koniec sezonu organy wykonawcze władz Chamonix ds. zdrowia i bezpieczeństwa ogłosiły je miejscem narodowej klęski i cały obszar został spalony.

Zaczęliśmy od przyjemnego przedzierania się przez śniegi, a następnie dokonaliśmy najprawdopodobniej najdłuższego przejścia południowej ściany Midi. Tam po raz pierwszy doświadczyliśmy alpejskich zagrożeń obiektywnych, kiedy to zostałem brutalnie trafiony w głowę spadającą tubką po kremie przeciwsłonecznym. Kolejnym naszym celem była północna ściana Peigne. Ta wydawała się znacznie poważniejsza (z uwagi na brak słońca), ale nie była, dopóki nie znaleźliśmy się daleko od ściany. Gdy zbiegaliśmy trawiastą ścieżką na Plan, dopadła nas wieczorna nawałnica.

Nagle piorun uderzył w pobliski pylon kolejki, a siła uderzenia odrzuciła mnie na dobrych kilka metrów. Upadłem na twarz zamieniając się w bezwładną, drżącą masę. Przez resztę drogi do stacji kolejki czołgałem się w ulewie nie mając czelności podnieść głowy powyżej parapu. Od tamtej pory niemal paranoiczny strach przed piorunami, ale i największy respekt, będzie mi towarzyszył w trakcie całej mojej alpinistycznej kariery.

Wtedy też stało się jasne, że musimy wybrać się na coś poważniejszego. Zdecydowaliśmy się zatem pójść na Ostrołę Brenvy na Mont Blanc. Tym razem, jeśli nie o drodze, to przynajmniej o górze już słyszałem. W tym czasie obowiązkowe były

pasy biodrowe z 5 mm linki konopnej, które z liną łączyło się przy pomocy sportowego, w przybliżeniu dziesięciokilogramowego, nierdzewnego, zakręcanego karabinka – uprząże miały się dopiero pojawić. Gdy poruszaliśmy się w górę śnieżnego stoku, w środkowej części tej klasycznej drogi, zauważyłem, idąc jako ostatni w zespole, zsuwającą się z góry cienką konopną linę, która błyskawicznie przeleciała mi między nogami i zniknęła z pola widzenia. Zanim ruszyliśmy dalej do góry, Pete, wiążąc się w pasie bezpośrednio liną, wyglądał na mocno zażenowanego.

Mniej więcej w tym czasie, gdy zacząłem się zastanawiać, dlaczego inne zespoły zawróciły, spowiły nas gęste chmury. Wierchołek osiągnęliśmy o wiele później, przy całkowitym braku widoczności, delikatnie padającym śniegu i grzmiejącej w oddali burzy. Gdybym wcześniej przeczytał Bonattiego lub jakąkolwiek inną alpejską historię, byłbym cholernie przerażony. Tymczasem, czułem się jakbym właśnie wchodził na jedno z ośnieżonych wzgórz południowej Anglii (w tamtych czasach ośnieżone wzgórza w południowej Anglii były zjawiskiem znacznie powszechniejszym). Na całe szczęście miałem wcześniej w rękach wspaniałą podręcznik Rebuffata, *W skale i śniegu*, w którym autor bardzo obszernie rozpisuje się o „*montez comme une echelle*”, a niezwykle ilustracje przedstawiają wspaniałych ludzi z gracją przekraczających szczeliny po drabinach. Zapamiętałem z niej bardzo mądre słowa: „gdyby twój partner spadł z ostrej grani, najlepsze co możesz zrobić, to skoczyć w dół po przeciwnej stronie”. Rada okazała się niezwykle pożyteczna i kiedy Pete spadł z grani Bosses, instynk-



W dolnej części ściany Grepon opadającej na Mer de Glace z obowiązkowym sprzętem z tamtych dni.

townie rzuciłem się na włoską stronę. Na szczęście dla nas obydwu, tym razem był dobrze związany. W zejściu kompletnie się zgubiliśmy, włosy dosłownie stawały nam dęba i mieliśmy mnóstwo szczęścia, że nie zmiotło nas w niesławnym kularze. W końcu udało nam się dotrzeć do *Bar Nationale* bez szwanku.

Pete wyjechał do domu. Niestety, coś wisiało w powietrzu, gdyż kilka lat później dołączył do przynębiająco długiej listy byłych partnerów, którzy odeszli do innego świata.

Jeśli o mnie chodzi, to odroczenie wyroku przybrało postać Hugh Drummonda, słynnego z przejść z Avon Gorge, a szereg pokonanych bez żadnych przygód dróg zawdzięczać jego zdecydowanie większym umiejętnościom. Jednak ostatnia wspinaczka, z debiutującym w Alpach przyjacielem z Londynu, miała okazać się fatalna w skutkach.

Zachwyceni pokonaniem opadającej w kierunku Mer de Glace wschodniej ściany Grepon, cieszącego się dużym zainteresowaniem klasyku naszych czasów, w zapadającym zmroku, przy pomruku odległej burzy, schodziliśmy w kierunku lodowca Nantillions. Droga zejściowa prowadzi przez górną część lodowca, a następnie stromym skalnym żeblem, biegnącym wzdłuż ogromnego, potrzaskanego lodospadu.

Od dawna było już ciemno, nasza jedyna działająca latarka świeciła coraz słabiej, a my niestety wzięliśmy sobie do serca dziwne sugestie zabrania tylko jednego czekanu na zespół. Związani liną, kompletnie zagubieni na stromiejącym stoku, powinniśmy byli zrobić cokolwiek poza kontynuowaniem schodzenia. Jednak nadciągająca burza, strach przed nieznanym oraz nasza naiwność działały mobilizująco. Jak było do przewidzenia, spadliśmy. Początkowo udało mi się zahamować przy pomocy czekanu, jednak mój kumpel przemknął obok

wystrzeliwując mnie w przestrzeń. Spadaliśmy i spadaliśmy z ogromną prędkością, koziółkując bez żadnej kontroli. W pewnym momencie, wykonując wielkie salto, zakreśliłem w powietrzu pełen łuk, a lecąc głową w dół znalazłem się poniżej podstawy chmur. Poda mną ukazały się nagle światła Chamonix. Spadając, czekałem z obojętną świadomością na nieuchronny trzask, kiedy to trafię w coś bardzo, bardzo twardego.

Nic takiego jednak się nie stało. Sunałem coraz wolniej, a stok stopniowo robił się płaski. W końcu, po pokonaniu ok. 600 metrów, wpadłem w coś w rodzaju zaoranego pola. Później powiedziano mi, że raz na sześć, siedem lat działalność lodowca zamienia lodospad w łagodny stok. Na szczęście wypadek przytrafił się właśnie w takim roku. Zatrzymaliśmy się w pobliżu czoła, konstatając, że mimo iż mocno poturbowani i poobdzierani, cudownym trafem byliśmy jednak cali. Przemoczeni, zmarznięci i zagubieni w labiryncie szczelin, ostatecznie spędziliśmy noc chowając się przed deszczem pod zaklinowanym w szczelinie głazem. Kiedy zaczęło świtać, w odległości 15 metrów ukazał nam się koniec lodowca. Kuśtykając pokonałszy i ten dystans, rozłożyliśmy się na trawie i w promieniach porannego słońca zaczęliśmy suszyć nasze ubrania.

Człowiek najlepiej uczy się na własnych błędach, niestety w przypadku wspinania często nie ma się już drugiej szansy. Po tym wypadku mój partner w zasadzie zrezygnował ze wspinania. Zanim dotarłem do Dover, po pełnej przygód podróży przez Francję, coś odcisnęło bardzo silne piętno na mojej psychice i życie już nigdy nie było takie samo.



Przymierzając się do startu w Ryse Lepiney na pn ścianie Peigne. Czerwone wełniane swetry były wtedy w modzie, podobnie jak ściórany plecak typu Whillans, bucior, młotki i liny związane w pasie.



W Polsce nie ma najlepszych warunków do uprawiania wspinaczki lodowej. Krótkie lodospady możemy znaleźć jedynie w Tatrach i Karkonoszach. Ponadto dyscyplinę tę można uprawiać w kilku rejonach w Karpatach słowackich m.in. w Słowackim Raju oraz na sztucznych obiektach stworzonych do tego celu, znajdujących się przy dużych stacjach narciarskich (Ružomberok, Jasna). Z tego powodu wielu polskich wspinaczy wyjeżdża w zimie w inne części

Europy w poszukiwaniu potężnych lodospadów i wiszących sopli.

Dolina Gastein, leżąca w południowo-zachodniej części austriackiego Salzburg Landu, znana jako jeden z europejskich „lodowych rajów”, była celem naszych tegorocznych zmagania.

W pewien lutowy wieczór wyruszyliśmy we czwórkę do naszego celu – ok. 800 km od polskiej granicy. Z południowej Polski najlepiej jechać przez Chyżne, Bratysławę oraz Wiener Neustadt i Schladming. Natomiast z innych części kraju należy się kierować na czeskie Brno, później Wiedeń i Salzburg. Do Doliny Gastein skręca się na południe ok. 20 km za Bischofschofen (znanym z Turnieju Czterech Skoczni), z drogi wiodącej dalej do Kaprun i Zell am See. Za skrzyżowaniem wjeżdża się do dwóch tuneli. Po przejechaniu drugiego (dłuższego), wjeżdżamy do Klammmstein, gdzie znajdują się pierwsze lodospady. Efektownie prezentuje się stąd Wąwóz Gastein, do którego prowadzi komfortowa droga. Idąc nią, warto zwrócić uwagę na kilka interesujących lodospadów, znajdujących

Tekst: Marek Żołądek i Michał Król (Vasque)

Zdjęcia: Grzegorz Gaj

Lodowe wspinanie w Dolinie Gastein

Michał Król (Vasque) na drodze Rock'n Roll M8+ w rejonie Klammmstein.

się po prawej stronie potoku, w tym znany „Hot Dog” o trudnościach WI 6+. Jednak nasz, pierwszy wybrany sektor, znajduje się po drugiej stronie torów kolejowych, nad pensjonatem „Gasthofe zur Ruine”. Podejście do niego, to ok. 15 minutowy marsz przez las. Znajdują się tam trzy interesujące dwuwyciągo-

(z drzewka oraz spita), wróciliśmy do podstawy ściany. Następnego dnia próbowaliśmy pokonać jedną z najtrudniejszych dróg w tym rejonie – „Rock’n Roll” M 8+, WI 5+. Po pierwszym łatwym wyciągu, doszliśmy do stanowiska położonego nad olbrzymią „lodową kopą”, powstałą z wody ściekającej

Zjechaliśmy na dół i udaliśmy się do leżącego bardziej na południe miasteczka Bad Hofgastein, słynącego z doskonałych tras narciarskich i gorących źródeł. Będąc w sklepie sportowym spotkaliśmy jednego z miejscowych wspinaczy, który polecił nam wspinanie w osadzie Harbach.

namiot. Noc była bardzo mroźna, ale w podwójnym śpiworze można było komfortowo wyspać się. O poranku zjedliśmy śniadanie i udaliśmy się pod ścianę. Na miejscu okazało się, że ściana cały czas wystawiona jest na działanie promieni słonecznych. Powodowało to duże zagrożenie obrywem sopli.

Rejon w Harbach – od lewej drogi o trudnościach: M9, WI4, M7+, WI6+, WI5



we drogi lodowe. Jako pierwszą zaatakowaliśmy tę położoną z prawej części ściany – ok. 100 metrową „Ruinenorge!” WI 5+. Pierwszy wyciąg był pionowy, z różnymi rodzajami lodu. Natomiast drugi wyprowadzał na skalisto – trawkowy teren. Po skończonej wspinaczce, dwoma zjazdami na linie

z dużego sopla powyżej. W kluczowy przewieszony wyciąg wbił się Michał. Długim trawersem szybko dotarł do wyjściowej rysy. Jednak wszystkie spity były zalane lodem i wspinaczka powyżej – bez asekuracji i w tych trudnościach – była zbyt ryzykowna, dlatego tym razem postanowiliśmy odpuścić.

Po dotarciu na miejsce okazało się, że znajduje się tam dosyć szeroka ściana o wysokości ok. 60 m z kilkoma drogami lodowo – mikstowymi. Z powodu szybko zapadających ciemności, wspinanie odłożyliśmy na dzień następny. W głębokim śniegu sprawnie przygotowaliśmy miejsce pod

Dlatego wybraliśmy linię położoną trochę po lewej stronie, o długości 50 m i trudnościach WI 4. Następnie zjechaliśmy pod ścianę wzdłuż sopli, które chwilę później runęły w dół. Na szczęście nikt z nas nie był wtedy w miejscu, w którym spadły.



Michał w trudnościach drogi M7+, Harbach.

Głównym celem naszego wyjazdu była ściana Eisareny, położona powyżej małej miejscowości Anlaufstal (miejsce, gdzie samochody przewożone są koleją prawie 9-ciokilometrowym tunelem, biegnącym pod głównym grzbiecie Wysokich Taurów, w stronę Villach). Następnego dnia chcieliśmy powtórzyć drogę „Rain Man” M 6+, WI 5, znajdującą się na Lange Wand, jednak po dotarciu na miejsce okazało się, że ona w ogóle nie istnieje. Nie było na niej lodu. Postanowiliśmy więc od razu w tym samym dniu zaatakować Eisarenę. Wybraliśmy jeden z największych i najbardziej imponujących lodospadów w Austrii – „Mordor” WI 5, o długości 300 metrów.

Około południa weszliśmy w pierwszy wyciąg drogi. Co kilka metrów był inny rodzaj lodu. Dodatkowo od czasu do czasu spadały nim małe lawinki pyłowe z bryłami lodu. W końcu doszedłem do miejsca, gdzie mogłem zrobić stanowisko. Niestety, chwilę później zламаłem ostrze jednego z czekanów (Vampiry!). Wspólnie z Michałem

doszliśmy do wniosku, że to nic takiego i postanowiliśmy wspinać się dalej. Na trzecim wyciągu minęliśmy dużą krwawą plamę na lodzie. Pewnie jedna z lawinek dosięgła, kogoś z naszych poprzedników. Kolejne stanowisko było wiszące. Wpięty do śrub lodowych i „buldoga”, spoglądałem, jak Michał walczy na kluczowym wyciągu, nie tylko z ekspozycją i trudnościami, ale przede wszystkim z „pyłówkami”. Chwilę później sam musiałem się z nimi uporać. Następna długość liny to wspinaczka wśród pięknych lodowych tworów, przypominających „otwarte paszcze” dzikich zwierząt, czekających na swe ofiary. Ostatni – siódmy wyciąg – zrobiliśmy już po ciemku. Po krótkim odpoczynku rozpoczęliśmy zejście. Kilka razy błądziliśmy wśród pionowych traw i lodów, do których doprowadziły nas tropy dzikich zwierząt. Jednak w końcu udało nam się około północy bezpiecznie dotrzeć na parking, gdzie czekali na nas Grzesiek i Przemek, z przygotowanym dla nas gorącym obiadem.

Kolejny dzień przeznaczaliśmy na rekonesans w rejonie Sportgastein. Wjechaliśmy także kolejką linową na Kreuzkogel (2686 m), skąd rozciągała się wspaniała panorama Alp od leżącego w Słowenii Triglava, po najwyższy szczyt Austrii – Grossglockner. Wieczór spędziliśmy w Bad Gastein, według nas, najciekawszej miejscowości w całej dolinie. Następnego dnia pogoda znacznie się pogorszyła, więc wyruszyliśmy w kierunku domu.

Opis rejonu – Dolina Gastein

Klammstein

Ruinenorgel WI 5 +, WI5, 90 m
Wet Dreams WI6-, WI6, 90 m
Rock’n Roll M8+, WI5+, 60 m

Harbach

– brak opisu w przewodniku
od lewej – M9, WI4, M7+, WI6+, WI5

Anlaufstal – Lange Wand, Eisarena

Rain Man M6+ – WI5, WI4, WI4, 70 m





Klammsstein, Przemek na drodze Ruinenorgel WI 5 +, po lewej Wet Dreams WI6– i Rock 'n Roll M8+

Hohkarfall WI3, 150 m
 Almrosen – Couloir WI5, 150 m
 Vergissmeinnicht WI4, 150 m
 Solospieler WI3, 120 m
 Fenstergucker WI5, 120 m
 Federweiss-Fall WI4, 180 m
 Seidenraupe WI5, 200 m
 Rodeo M8, WI7, 250 m
 Lange Wand M6+, WI6, 250 m
 Mordor WI3+, WI3, WI4, WI5, WI3+, WI3, WI4, 300 m
 Supervisor WI4, WI3/4, WI5+, WI6, WI6, WI5, WI2, 250 m

Informacje praktyczne:

Ceny paliw w Austrii są zbliżone do polskich. Koszt tygodniowej winietki na autostrady, to: słowackiej 150 SKK, czeskiej 150 CZK. Natomiast 7,60 EUR kosztuje 10-dniowa winietka austriacka. Wjazd do Sportgastein dla osób nie mających karnetu narciarskiego kosztuje 4 euro za osobę. Za przewóz samochodu osobowego koleją z Anlaufthal do Mallnitz (przez Tauerntunnel) trzeba zapłacić 16 euro.

Ceny noclegów w pensjonacie zaczynają się od ok. 25 EUR.

Dolina Gastein to także znane i cenione miejsce wśród narciarzy i snowboardzistów. Całodzienny

karnet dla dorosłych kosztuje 36 euro (www.skigastein.com, www.skiamade.com).

Dużą atrakcją są również gorące źródła znajdujące się w Bad Gastein (www.felsentherme.com) oraz w Bad Hofgastein (www.thermen.gastein.com).

W całej dolinie znaleźć można również dobrze przygotowane trasy dla narciarzy biegowych. Tym, którzy zechcą popatrzeć na Gastein z lotu ptaka, można polecieć lot w tandemie na paralotni (www.tandem-flying.com).

Więcej informacji można znaleźć na stronach: www.gastein.at i www.gastein.com.

Kiedy jechać? Najlepszym okresem do wspinaczki lodowej w dolinie jest przełom stycznia

i lutego. W marcu jest za ciepło i wiele ciekawych dróg już nie istnieje.

Sprzęt. Standardowy zestaw do wspinaczki lodowej, lina 2 x 60m, ok. 12 śrub, 10 ekspresów, pętla, kask. Na drogach mikstowych przydadzą się friendy





Artur Paszczak

Widok na Kieźmarską z Jackovicem w tle.

Panorama.

Ech, to był obóz!
Jeśli nie wiecie co takiego jest
w dolinie Kieźmarskiej,
że każdy pobyt tam jest udany,
to w waszym doświadczeniu
okołowspinaczkowym ziele
dziura głębokości mariańskiego
rowu. A we wspinaczkowym
– niepowetowana strata niezna-
jomości jednej z najpiękniejszych
tatrzańskich dolin. Z drugiej strony,
można tylko poza-
drościć przeżyć tym,
którzy będą ją od-
krywać dla siebie.
Żaden opis tego
nie zastąpi,
ale podgrzewać
nastroje można,
a nawet trzeba.

Czym
zatem
uwodzi
dolina
Kieźmarska?
Po pierwsze
– największą
ścianą Tatr
umiejscowio-
ną w odległo-
ści 20 minut
od schronu.
Już samo
to wystar-
czyłoby
na rok
łojenia.
Lecz jakby

tego mało, tuż za rogiem zasadził się Dur-
ny Szczyt, dalej Czarny, Kołowy, Baranie
Rogi, Jagnięcy... Mało? Zbyt północno?
No to na słoneczko – Jastrzębia Turnia,
Kopiniaki, Jagnięca Grań, Kozia Grań,
Kozia Turnia, Rzeżuchowe...

El Dorado, wszystko blisko, bezpiecz-
ne podejścia, wielkość i charakter ścian
do dowolnego wyboru. Roboty na całe
życie.

Ale to nie wszystko. Samo wspinanie
nie wystarczyłoby do stworzenia tego nie-
powtarzalnego klimatu, który porównać
można tylko do naszego Moka, do tego
miejsca, gdzie wspinacz czuje się jak
u siebie w domu. Bo, koleżanki i koledzy,
oto dobra nowina: jest jeszcze jedno ta-
kie miejsce, i jest nim Chata Pri Zelenom
Plese. Ludzie, którzy tam pracują, umieją
stworzyć ten jedyny i неповtarzalny kli-
mat, który nieomylnie rozpoznają wspina-
cze z całego świata. Począwszy od kuchni,
która serwuje naprawdę znaczne i smaczne
posiłki, a gdzie jeszcze do obiadu podadzą
nam piwo (do wyboru t'mave albo svetle!),
gdzie wjadą dwa dania, a i deser czasami!
Gdzie późno wracającego łojanta przy-
witają nie wymówki, tylko ciepłe słowa
i także strawa. I w końcu, gdzie 3 zaledwie
osoby są w stanie prowadzić wielki schron
i zapewnić w nim nienaganną czystość,
i mieć jeszcze siłę na uśmiech!

To Nasze Miejsce, powiadam bez prze-
kory i wiem, że zjawimy się tam jeszcze.

W Nautilusie.

W Kieźmarskiej jest tłoczno, rezerwację
trzeba robić w zasadzie już w czerwcu. My

trochę zaspaliśmy, dlatego pierwszy ty-
dzień przyszło nam spędzić w przybudów-
ce postawionej na węglowej kotłowni. „Po-
ścielowcy” rozłożyli się kapitańskim, reszta
– w kajucie Nautilusa, gdzie rankiem weso-
ło budziło towarzystwo pyrkotanie węgło-
wego agregatora prądowego. A że troszkę
spaliny wjeżdżały do środka – to co tam!
Grunť, że humory dopisywały i graty było
gdzie rozłożyć.

I tak runęliśmy do łoju. Już w niedzielę
padł *Złoty Strzał* (V, A0) na Małej Złotej
Kazalnicy w brawurowym wykonaniu
Chmiela i Grzesia Sokołowskiego. Droga
ta, poprowadzona na pierwszym klubo-
wym obozie w 99 r. przez niżej podpisa-
nego i Tomka Kopysia, stała się w między-
czasie popularnym standardem. Obłożono
ściany Kieźmarskich Strażników i Raku-
skiej Czuby, a pogoda – choć nie idealna
– umożliwiała jednak wspinanie. A że ochota
była, to i w opadzie szły eszelony w bój
zwycięski (ach, ten komin Brta w potokach
pyłówek!). Do dobrego tonu należało wyjść
po śniadaniu i bez opóźnienia zjawić się
na obiedzie, czasem jeszcze w rynsztunku,
aby wydającej obiad Danie zameldować się
gromkim: „Jestem! Biorę t'mave!”

A po obiadku wjeżdżała zazwyczaj śliwo-
wica, gdzieś tam buchtę, tudzież frytki,
po czym – wysłuchawszy obowiązkowych
wyśpiewów kolegów czeskich i słowackich
– można było udać się na spoczynek.

Pogoda dopisywała, aczkolwiek noto-
waliśmy też straty. Nasza dzielna hima-
laistka Kinga, tak się zatraciła w łożeniu
piątek na Koziej Strażnicy, że odmroziła

Alicja Paszczak na drodze *Hrana Veberovki 5+*,
Mały Kieźmarski Szczyt. Fot.: A. Paszczak.



Chmiel „Samolot” na drodze *Puskas-Pawlik IV*,
Mały Kieźmarski Strażnik. Fot.: P. Przybysz



Artur Paszczak i Zbyszek Skierski po przejściu
Ruskiej Rulety M6– Fot.: arch. A. Paszczak.



Dolina Kieźmarska. Fot.: M. Wawro.





sobie paluchy i dostała wielgachnych bąbli. W powszechnej opinii obwiniano o to instruktora Bucka, który zbyt śrubował standardy. Kinga jednak nie odpuściła, i od tej pory stosowała w trudnych miejscach wyłącznie drajtuling.

Były też momenty.

Kaczmar i Jacek Kierzkowski złomotawszy *Hranę Veberovki* (klasycznie), tak się kosili na *Niemieckiej Drabinie*, że prezesowa omal nie wymusiła ratunkowej ekspedycji. Na szczęście doświadczeni obozowicze nie ulegli niepotrzebnej panice i z piwem w dłoni spokojnie przyglądali się rozwojowi wydarzeń, komentując: „No, to siedzą sobie na śniegu, to niech siedzą. A światelko jest jedno, bo pewnie baterii nie mają. Ot, co!”

Jakoż racja i tym razem okazała się być po stronie doświadczenia!

Na salonach.

Drugi turnus mógł już zasmakować wygód głównego budynku, aczkolwiek w nieco ograniczonym zakresie. Nie wszystkim dane było rozłożyć się w łóżku, ale przynajmniej nie trzeba już było wychodzić na mróz, żeby się wysikać. Nowy oddział ochotników wniósł w wianie świeżą energię, butelkę absyntu i pogorszenie pogody, co dobrze ze sobą konweniowało. Wiceprezes Skierski tradycyjnie zjechał z deską, co uznano za dobry omen, jakoż i następnego dnia, po spadnięciu 60 cm śniegu, niebiosy rozbłysły słońcem. Jakimś cudem cały ten śnieg nie spadł nam na głowy, pomimo że rozdeptywaliśmy go we wszystkich kierunkach i czym popadło. Niektórzy nawet nie w tych, co zamierzali:

Chmiel i wzmiankowany wiceprezes udali się w ciemnościach mroźnej nocy nie do tej doliny, co sobie zamyślili. Nie zbici z pantafelki włomotali Jagnięcy zamiast Kołowego, dzięki czemu wcześniej zameldowali się w schronie, co pozwoliło im spożyć nadprogramowe browary jeszcze przed obiadem.

Baron tradycyjnie szerzył propagandę lawinową, wskazując na dźwigających łopaty i pipy Słowaków, jednak w naszych szeregach nie dawano mu wiary. Wzmiankowany wiceprezes stwierdził, że lawiny co prawda są, ale nie zasypują, czego dowodził na podstawie własnego, bogatego doświadczenia.

Apropos obiadu, to raz o mało go nie zjedliśmy, bo zaginęli uczestnicy Akcji Junior: Kopyś i Kuzdrowski. Po całodniowych zmaganiach z drogą Żuławskiego, jakichś zapychach czy Bógwieco, nie pojawili się na posiłku. Ciemności zapadły, a ich ni widu – ni słyhu. Na zejściu ich nie ma, na ścianie ich nie ma – pozostawało więc tylko – pod ścianą. Ekspedycja ratunkowa wyruszała już by ratować to, co jeszcze mogło z nich pozostać, ale wówczas rozbłysło światelko na szczycie. Pół godziny później nie ludzko zmęczeni, acz ludzko szczęśliwi i zwycięscy, zameldowali się w schronie. Obniżone noty za styl spowodowały odebranie im deseru.

Tego samego dnia niżej podpisany i wzmiankowany wiceprezes mieli okazję przekonać się na własnej skórze, co Słowacy rozumieją pod pojęciem M6-, oraz dlaczego *Ruska Ruleta* jest nazwą adekwatną dla pewnej drogi.

Do schronu wpadli jednak szósta punkt!!!



„Maszynownia”. Fot.: P. Przybysz.

Master of Stone.

Pisząc o wspinaniu w Kieźmarskiej, nie można pominąć postaci Pavla Jackovica, który w ciągu kilkunastu lat dokonał rzeczy absolutnie niebywalej – przeszedł wszystkie drogi na pn. ścianie Małego Kieźmarskiego Szczytu i Kieźmarskiej Kopy. Wszystkie, to znaczy około 100!!! (brak mu bodaj jednej). Niejako przy okazji, Pavel poprowadził 27 nowych linii, w większości o najwyższych trudnościach. Kask, czapka i co tam kto ma na głowie, same z niej spadają, bo w grę wchodzi przejścia naprawdę mocne, a każdy, kto robił drogę na Kieźmarskim do szczytu, dokładnie wie, ile trzeba się napracować, aby móc wyrzucić na stronę Skalnatego Plesa.

Wszystko to zaś, oprócz waloru sportowego, służyć ma dziełu Pavla, jakim będzie przewodnik po Kieźmarskiej ścianie.

Oto wzór do naśladowania – Pavel uznał, że nie będzie mógł z czystym sumieniem rysować drogi w zdjęcia czy opublikować schematu, jeśli sam nie przejdzie opisywanej linii. Pavle – cholernie wysoko ustawił poprzeczkę! Życzymy ci powodzenia i z niecierpliwością oczekujemy na przewodnik. Przy okazji następnego pobytu nad Zielonym Stawem postaramy się zrobić z niego jak najlepszy użytek.

WYKAZ PRZEJŚĆ NA OBOZIE KW

(tylko zakończone sukcesem – brak w zestawieniu wycofów)

Baranie Rogi

Grań od Baraniej Przełęczy I; Łukasz Bartoszewicz, Andrzej Machnik i Agnieszka Szelańska 01.03.2006r.
Jacek Gwiazda i Ziemowit Wirski 01.03.2006r.,

zboczem na wierzchołek Koziej Kopki)

Andrzej Machnik i Agnieszka Szelańska 04.03.2006r.,

Wsch. Grań Czerwonej Turni

Na palę Napala II-III; Łukasz Bartoszewicz, Andrzej Machnik i Agnieszka Szelańska 01.03.2006r., nowa droga

Prawy Filar pd.-zach, ściany WHP 3858 II-III; Andrzej Machnik, Marlena Ostrowska i Marek Giba 07.03.2006r.,

Jagnięcy Szczyt

Zapewne **drogą Stanisławskiego**; Marek Czyżewski i Paweł Przybysz 02.03.2006r., lewą częścią ściany – start wyraźnym kominem 2 wyc. Potem filarkiem 2 wyc. i granią W prawo do szczytu 100 m.

Prawe żebro pd.-zach, ściany IV; Maciej Jakubczyk, Marcin Osipiak, Łukasz Sarniak i Andrzej Skłodowski 08.03.2006r.,

Lewy Filar pd.-zach, ściany WHP 3860 IV; Andrzej Dutkiewicz, Adam Kotakowski, Jacek Kurowski i Marta Wawro 07.03.2006r.,

Andrzej Machnik, Marlena Ostrowska i Marek Giba 08.03.2006r.,

Jastrzębia Turnia

Pn.-wsch. Filar WHP 3720 IV; Piotr Bucki i Paweł Karczmarczyk 08.03.2006r., (prostowanie góry)
Krzysztof Kowalczyk, Grzegorz Mróz i Piotr Walkowski 07.03.2006r., (w prawo odstrzeloną płytą).
Jacek Kierzkowski i Marcin Miotk 08.03.2006r., (obejście górnej płyty po prawej stronie),

Kozia Turnia

Filar Lehotskiego WHP 3870 V; Piotr Walkowski i Grzegorz Mróz 09.03.2006r.,

Lewa depresja Drogą Schweickhartów WHP 3871 I-II; Joanna Benedyktowicz, Danuta Karwańska i Andrzej Skłodowski 01.03.2006r.,
Łukasz Bartoszewicz, Andrzej Machnik i Agnieszka Szelańska 02.03.2006r.,
Andrzej Dutkiewicz, Adam Kotakowski, Jacek Kurowski i Marta Wawro 08.03.2006r.,
Maciej Jakubczyk, Łukasz Sarniak i Andrzej Skłodowski, 09.03.2006r.,

Droga Stanisławskiego WHP 3874 IV; Tomasz Kopyś i Ryszard Kuzdrowski i Mikołaj Pokromski 01.03.2006r.,

Prawa Grzęda (?); Piotr Bucki, Krzysztof Kowalczyk i Marcin Miotk 06.03.2006r.,

Kieźmarska Kopa

Duchon-Nitsch IV; Marek Czyżewski i Paweł Przybysz 01.03.2006r. (tylko do Drabiny),

Kołowy Szczyt

Droga normalna z Dol. Jastrzębiej 0+; Łukasz Bartoszewicz, Andrzej Machnik i Agnieszka Szelańska 03.03.2006r.,

Zadnią Kołową Drabiną, WHP 3563 IV; Marcin Chmieleński i Zbyszek Skierski 03.03.2006r.,

Kozia Kopka

Środkowa depresja WHP 3859 IV; Jacek Gwiazda i Ziemowit Wirski 28.02.2006r.,
Tomasz Kopyś i Ryszard Kuzdrowski Mikołaj Pokromski 02.03.2006r., (wejście drogą zejściową tj najpierw zbieżem ze Skrajnej Koziej Szczerbiny a mniej więcej 50 metrów od grani ukosem w lewo

Środkowa depresja V; Tomasz Kopyś i Ryszard Kuzdrowski 09.03.2006r.,



Po przejściu Koziej Grani
na Zadniej Rzeżuchowej Kopie.
Fot. arch. M. Wawro.



Czas wracać do domu. Fot.: A. Paszczak.

Mały Kieźmarski Strażnik

Poludnajszy Klud (Brł-Kotas) V; Paweł Karczmarczyk i Artur Paszczak 27.02.2006r.,

Puskas-Pawlik IV; Jacek Kierzkowski i Alicja Paszczak 27.02.2006r.,

Marek Czyżewski i Mikołaj Hotówko 27.02.2006r.,
Marcin Chmieliński i Paweł Przybysz 28.02.2006r.,

Mały Kieźmarski Szczyt

Filar Grosza III; Paweł Karczmarczyk, Jacek Kierzkowski i Grzegorz Sokołowski 28.02.2006r.,
Tomasz Kopyś i Ryszard Kuzdrowski 07.03.2006r., (wariantem Żuławskiego do Filara Grosza bez samego Filara),
Andrzej Dutkiewicz, Adam Kołakowski, Jacek Kurowski i Marta Wawro 09.03.2006r. (wariantem Żuławskiego III)

Droga Dorawskiego i Szczepańskiego WHP 3704 IV; Tomasz Kopyś i Ryszard Kuzdrowski 26.02.2006r.,
Iza Figiel i Mikołaj Pokromski 26.02.2006r.,
Kinga Baranowska i Piotr Bucki 27.02.2006r.,
Grzegorz Mróz i Piotr Walkowski 06.03.2006r.,

Hrana Veberowki 5+; Alicja Paszczak i Artur Paszczak 01.03.2006r., w 6,5 h
Paweł Karczmarczyk i Grzegorz Sokołowski 02.03.2006r.,

Pośredni Kieźmarski Strażnik

Grochulski-Majewski V; Paweł Karczmarczyk i Jacek Kierzkowski 26.02.2006r.,

Matray-Rybansky V; Marcin Chmieliński i Jacek Kierzkowski 02.03.2006r.,

Rakuska Czuba

Pn. ścianą WHP 3455 II; Joanna Benedyktowicz, Danuta Karwańska i Andrzej Skłodowski 26.02.2006r.
Andrzej Dutkiewicz, Adam Kołakowski, Jacek Kurowski i Marta Wawro 26.02.2006r.

Łukasz Bartoszewicz, Andrzej Machnik i Agnieszka Szelańska 27.02.2006r.,
Jacek Gwiazda i Ziemowit Wirski 27.02.2006r.,
Maciej Jakubczyk, Marcin Osipiak, Łukasz Sarniak i Andrzej Skłodowski, 07.03.2006r.,

Skraina Rzeżuchowa Turnia

Droga Hefty'ego WHP 3897 I-II; Andrzej Skłodowski 03.03.2006r.,

Filar Puskasa WHP 3903 V; Piotr Bucki i Marcin Miotk 07.03.2006r.,

Cesta cez knihu V; Piotr Bucki i Marcin Miotk 09.03.2006r.,

Wielka Złota Kazalnica

Palenicek-Svec IV+; Alicja Paszczak i Artur Paszczak 03.03.2006r.,

Ruska Ruleta M6-; Artur Paszczak i Zbyszek Skierski 07.03.2006r.,

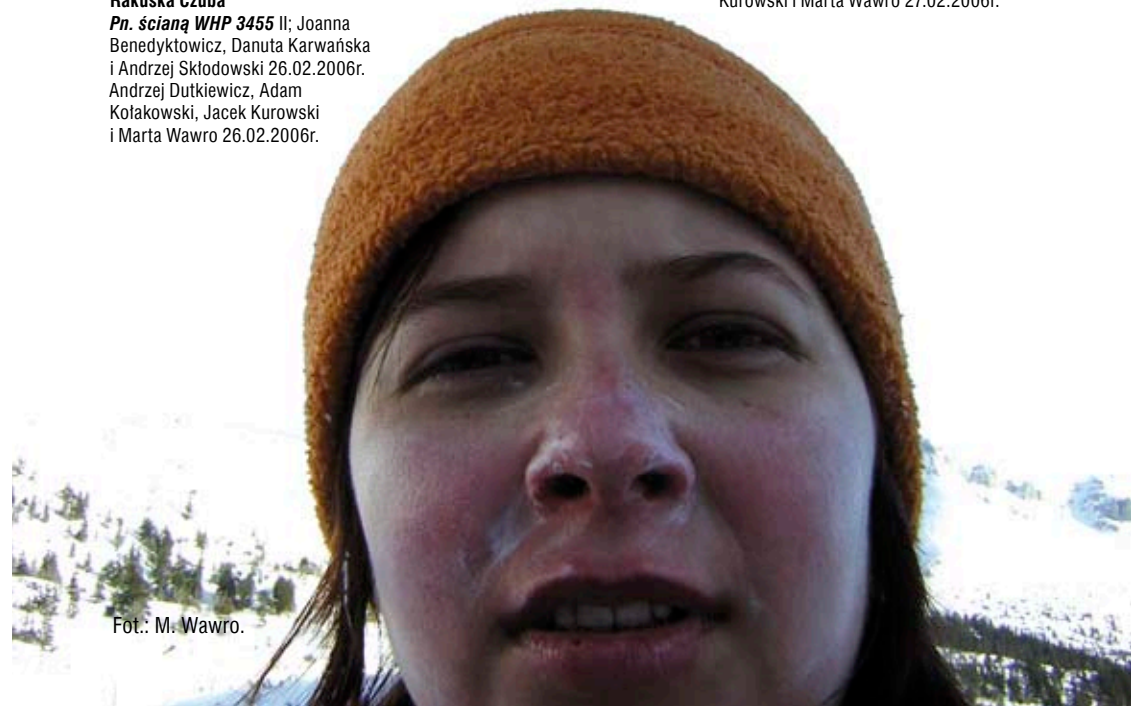
Złoty Strzał V+ A0; Marcin Chmieliński i Grzegorz Sokołowski 26.02.2006r.,

Wyżnia Jastrzębia Szczerbina

WHP 3740 III; Jacek Gwiazda i Ziemowit Wirski 26.02.2006r.,

Zadnia Rzeżuchowa Kopa

Kozia Grań WHP 3907 I; Joanna Benedyktowicz, Danuta Karwańska i Andrzej Skłodowski 27.02.2006r.
Andrzej Dutkiewicz, Adam Kołakowski, Jacek Kurowski i Marta Wawro 27.02.2006r.



Fot.: M. Wawro.

Omówienie sezonu zimowego 2005/2006

Artur Paszczak i Mariusz Wilanowski

Tegoroczny sezon zimowy za nami, więc czas na chwilę refleksji. Trzeba dodać – smutnej refleksji. Poprzednia zima nie rozpieszczała, jeśli chodzi o warunki, ale przynajmniej w pierwszych tygodniach grudnia i pod koniec marca można było prowadzić w miarę normalną działalność. W tym sezonie nawet Ci, którzy stawiali się na ostre

wspinanie już w grudniu, musieli poczuć się rozczarowani. Mijający sezon przejdzie do historii z jeszcze jednego powodu. Chyba po raz pierwszy gro działalności skupiło się w zachodniej części Tatr, w „królestwie trawy”. Żeby jednak nie było, że w Moku i okolicach nic się nie działo, wspomnimy o kilku wartościowych przejściach.

Na początku grudnia, przebywający z wizytą w Polsce przy okazji Festiwalu Górskiego w Krakowie znany słoweński wspinacz – Marko Prezelj – wytyczył w towarzystwie Maćka Ciesielskiego i Kuby Radziejowskiego nową drogę na Wielkiej Mnichowej Babie. Droga łączy w sobie pierwsze trzy długości liny *Zemsty Nietoperzy*, które zostały odhaczone i poprowadzone dwoma długimi wyciągami o kolejnych trudnościach VI (pierwotnie A1) i VII+ (A2), następnie nowy wyciąg o zaproponowanej wycenie VIII, po czym łatwą wspinaczką rozwiązano w kopule szczytowej nowy teren (piąty wyciąg IV-V). Łącznie około 250 metrów bardzo solidnego wspinania pod szyldem, a także, *Warianty Słoweńskie*. Zaproponowana przez Marko



Siódemkowe zacięcie na drugim wyciągu *Wariantów Słoweńskich* (Wlk. Mnichowa Baba). Fot.: J. Radziejowski.

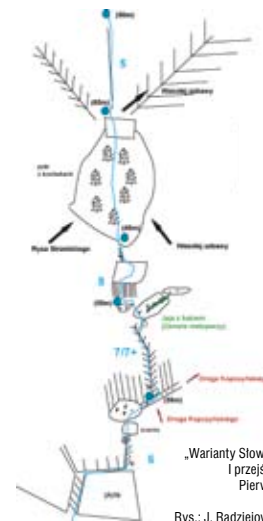


Maciek Ciesielski na *Wariantach Zimowych* na Kozłownicy (czwarty wyciąg o trudnościach 7 W). Fot.: J. Radziejowski.

wycena odnosi się do skali szkockiej, gdyż skalę „M” Słoweniec rezerwuje do wyceny wspinaczek po drogach ubezpieczonych.

Końcówka roku i pierwsze dni stycznia to okres, kiedy w Moku, niekoniecznie pod pretekstem wspinania, przebywa wielu wspinaczy. Ci z nich, którzy postawili na ruch w terenie, skupili się głównie na modnej tak ostatnio „zimowej klasyce”. Na pierwszy ogień poszło *Szare Zacięcie* na Czołówce MSW. Najpierw czystego przejścia w fatalnych warunkach próbował zespół: Adam Pieprzycki, Robert Rokowski i Paweł Kopta, a następnie Krzysiek Sadlej z Pawłem Józefowiczem, którzy pokonali drogę A0. Bliski sukcesu na innej drodze zlokalizowanej na Czołówce – *Psiej Krewce* był zespół: Marcin Książak, Piotr Sztaba i Paweł Kopta. Droga ostatecznie padła 1 x AF. W opinii Marcina, który chyba był

tej zimy najaktywniejszym wspinaczem w Moku, nadaje się ona idealnie na zimową klasykę. Trzy z sześciu wyciągów trzymają



„Warianty Słoweńskie” (trudn. 8, asek. wymagająca).
I przejście Marko Prezelj + tow. (8 XII 2006).
Pierwsze dwa wyciągi to klasyczna wersja drogi Jaja z Babami.
Rys.: J. Radziejowski (schemat może być niedokładny).



Kozie Czuby, Coś Direkt – zacięcie na 2 wyciągu.
Fot.: arch. J. Kuczera.

trudności cały czas i ocierają się o stopień VII+. Kluczowe wyciągi 4 i 5, znajdujące się na wysokości trawersu na *Szarym* – to ostra klasyka. Marcin, który określa sam siebie jako niezbyt dobrego drajtoolowca, przeszedł najtrudniejsze miejsce (trawers pomiędzy rysami) klasycznie, bez rękawiczek i bez pomocy dziab. Idący na drugiego Kopciak przeszedł ten fragment na dziabach, więc drytoolowo też się da. Próbowano też klasycznego przejścia *Sprężyny* na Kotle Kazalnicy. Hubert Morawski i Tomek Olszewski zrobili w ten sposób pierwsze trzy wyciągi, wyceniając ten fragment

na słabe VII. Do pełnego klasycznego przejścia wciąż jednak pozostaje najtrudniejszy zimą fragment drogi, czyli górne zacięcie.

17 stycznia miało miejsce mocne uderzenie na ścianie Kazalnicy w postaci dwóch imponujących przejść. Pierwsze – to nowa kombinacja klasyczna (w sensie klasyki zimowej) autorstwa Kuby Radziejowskiego i Maćka Ciesielskiego *Warianty Zimowe*, bo taką nazwę otrzymało połączenie początku *Direttissimi* do okapu Motyl, następnie Ścianki Problemowej na *Łapińskim* i z Nyży ze Świeczką do Górnego Kominu, którym wychodzi się ze ściany. Wycena kolejnych wyciągów wg chłopaków kształtuje się następująco: 1 wyc.: 6– W (podejście z lotną kociołkiem pod formację „A” z prawej strony),

2 wyc. – 6+, 3 wyc. – 7+ (ścianka za letnie VII– na direcie), 4 wyc. – 7 W, 5 wyc. – 7 R, 6 wyc. – 6+ (dotąd direta), 7 wyc. – (odtąd Łapińskim) 7+ (ścianka problemowa), 8 wyc. – 4 do Nyży, i wyjście Górnym Kominem za 5+ A0. Warto podkreślić, że pierwsze siedem wyciągów, czyli kluczowe trudności, pokonano OS przy prawie ciągłym nagromadzeniu trudności za 7-/7+, w bardzo dobrym czasie około 10 godzin. Kolejne trzy wyciągi, które normalnie tak doświadczonemu zespołowi nie powinny już sprawić trud-

ności, zajęły kolejne 10 godzin!!! i to A0. Niestety, zarówno warunki zastane w ścianie, jak i ogromne zmęczenie wynikające z klasycznego przejścia trudności, dały o sobie znać. Przejście to jednak wyraźnie pokazuje, w jakim kierunku powinno zmierzać w najbliższych latach wspinanie na Kazalnicy. Tego samego dnia na Zerwie wspinął się zespół: Jasiek Kuczera i Marcin Książak, którzy zrobili w czasie 19,5 godz. *Filar z Ostrogą*. Pomimo nie najlepszych warunków (burza) udało się dokończyć drogę, czego zasługą w dużej mierze była dość dobra znajomość dolnej partii ściany przez Jaśka (dwa dni wcześniej wycofał się z okolicy Wielkiego Bloku, więc teraz znając dół drogi przeprowadził ją szybko).

Ostatnią zakończoną sukcesem tegoroczną wspinaczką na Zerwie było przejście przez zespół: Krzysiek Sadlej i Michał Kasprowicz, *Długosza* VI A1. I to właściwie, jeśli chodzi o Zerwę byłoby tyle. Na Kotle Kazalnicy dwóch powtórzeń doczekała się jedna z popularniejszych dróg w okolicy – *Cień Wielkiej Góry* (Alfred Sosgórnik – Mariusz Nowak i Krzysztof Skoczylas i Robert Kaźmierski). Na Mnichu w jego lewej części, Marcin Książak w solowej wspinaczce otworzył nowy wariant do *Drogi Stanisławskiego*. Pierwotnie Marcin planował cztery nowe wyciągi, ostatecz-



Kozie Czuby, Coś Direkt – wspinanie na 2 wyciągu (A1+/A2).
Fot.: arch. J. Kuczera.

nie powstały dwa. Nowy wariant startuje 15 metrów na lewo od ostrogi ściany, w jej najniższym miejscu (*Stanisławski* omija dół ściany i wtrawersowuje wyżej). Pierwszy wyciąg to 50-60 metrów wspinania (II) do kominika gdzie stanowisko. Tutaj ściana się przełamuje i krótkim, 20-metrowym wyciągiem bez trudności, po śniegu dochodzi się do *Stanisławskiego* w miejscu startu w pierwszy, trójkowy kominik. Następnie Marcin proponuje żeby resztę drogi pokonywać w następujący sposób: krótkie kominiki III i IV można połączyć w jeden wyciąg (korzystniej ze względu na słabe

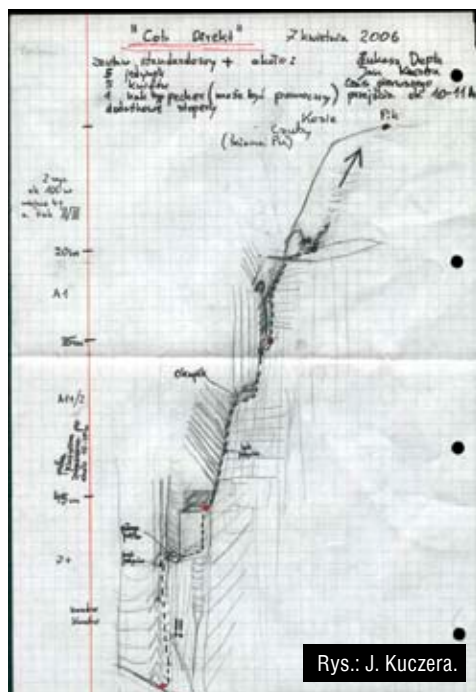
stanowisko pośrednie), następnie wyciąg z *Komina Stanisławskiego* VA1. „Jest on dość długi, ale polecam robić go w całości aż do połączenia z *Drogą Stanisławskiego*. Pozostałe 70 metrów pokonujemy *Drogą Stanisławskiego* o trudnościach III-IV. Razem sześć wyciągów, 200 metrów ładnego wspinania, trochę hakówki i klasyki.”

Już po nadejściu kalendarzowej wiosny miały miejsce w Moku dwie ciekawe wspinaczki. Najpierw zespół Robert Rokowski – Adam Pieprzyci, wykorzystując dłuższy dzień, pokonali najpierw *Prawy Komin* V na Czołówce MSW, a następnie na tej samej ścianie zrobili kombinację *Psiej Krewki* ze *Starkiem* za VI A1. W tym samym dniu na *Psiej Krewce* VII+ pojawił się zespół: Piotrek Sztaba i Wojtek Kozub, z planem klasycznego przejścia drogi. Puściła w stylu 1xAF.

W efekcie nie najlepszych warunków panujących w Moku, część działalności skupiła się na ścianach w otoczeniu Hali Gąsienicowej. Już po zakończeniu właściwego sezonu zimowego, ale wciąż w zimowych warunkach, powstały na Hali dwie nowe

drogi. Pierwsza z nich, autorstwa Alicji i Artura Paszczaków, to *Twierdza Grubasów* IV+ na Świnicy. Droga zlokalizowana jest na płn.-zach. ścianie, z której doskonale widać tytułową *Twierdzę*. Drugą nowością jest powstała na płn. ścianie Kozich Czub, za sprawą zespołu: Jasiek Kuczera i Łukasz Depta, *Coś Direkt* VII+ A1+/A2. Pierwszy wyciąg w kruszyźnie, to wyęta-

jąca wspinaczka ze słabą asekuracją. Drugi wyciąg z ładnym zacięciem, pomimo prób, nie puścił do końca klasycznie i wyciąg zakończono hakowo za A1+/A2. Trzeci, krótki wyciąg to hakówka za A1. Po tych trzech wyciągach do końca pozostaje jeszcze 100 metrów w porywach do IV+ na wierchole (szczegóły na topo). Z ciekawszych powtórzeń rejonie warto wspomnieć o przej-



ściu popularnego letniego standardu Hali, jakim jest *Filar Leporowskiego* na Kozim Wierchu. O przejście w stylu OS tej wymagającej w zimowych warunkach drogi (trudności V+), pokusił się zespół: Wojtek Kozub i Łukasz Depta. Natomiast na Świnicy przejścia doczekał się inny klasyk Hali,

Grass Opera 5+, płn. ściana Giewontu.



czyli *Prawy Dorawski* V. Przejścia w stylu OS dokonał zespół: Miłosz Jodłowski, Przemek Wójcik i Sebastian Kłosok.

Jak wspomnieliśmy na początku omówienia, tegoroczny sezon był sezonem, w którym więcej na niwie działalności sportowej działało się w Tatrach Zachodnich, niż w Wysokich (z wiadomych powodów rezygnujemy w niniejszym opracowaniu, w części dotyczącej Tatr Zachodnich, z publikacji nazwisk autorów przejść i zdjęć, za co samych zainteresowanych z góry przepraszamy). Największy ruch panował na Giewoncie. Standardy, takie jak *Grass Opera* V+, *Direttissima* VI+, *Juhaski Filar* IV zanotowały po kilka przejść. W końcu wyjaśniona została też kwestia dużej rozbieżności w podawaniu wyceny pierwszego wyciągu drogi *Grass Opera*, wahającej

się od 5+ do 7-, która wynikała z faktu, że część zespołów wchodziła w ścianę około 20 metrów niżej w narzucający się komin, którego wycena oscyluje wokół 6+/7-. Dla takiej wersji drogi, jeden z zespołów, który zwrócił na to uwagę, proponuje nazwę: *Pseudo Opera*. Przejścia doczekało się *Ostatnie Tango*, a jego autorzy zaproponowali powrót do wyceny 6+, natomiast kolejny zespół na drodze zaproponował obniżenie wyceny do 6 (te różnice w interpretowaniu trudności dobitnie pokazują, że zimą do wyceny drogi należy podchodzić z dystansem, a najważniejszym czynnikiem decydującym o odbiorze pokonywanych trudności, są zastane w ścianie warunki).

Na drugiej ze sztandarowych ścian „Zachodu” – Wielkiej Turni – zanotowano bardzo dużo ciekawych przejść. Czysto

Droga Mazik-Tokarzewski V na Wielkiej Turni.



klasycznie w 10 godz. OS puścili *Prawe Warianty V*. Lewy Mróz, chyba najpopularniejsza droga w zeszłym sezonie, pokonywany był zarówno wariantem *Sidor-Szpilka*, znanym też jako *Skierski-Bender*, (dopiero drugie przejście, w tym pierwsze klasyczne OS; przy okazji zaproponowano wycenę 6+/7-, potwierdzoną przez kolejne przejścia), jak i wariantem oryginalnym. 16 i 28 stycznia dwa przejścia odnotowano na drodze *Komin Malczyka* (6) na Wielkiej Turni. Oba zespoły przychylają się do wyceny jejna poziomie zimowego 6. Jedną z najdłuższych linii w masywie, czyli *Północny Filar V*, doczekała się w tym sezonie dwóch przejść.

Najciekawszym dokonaniem na Pośredniej Turni i jednym z ciekawszych w ogóle w Zachodnich, jest pierwsze całkowicie klasyczne (i przy okazji najszybsze) przejście drogi *Dzik-Pronobis*, dotychczas V+ A1, obecnie 7-, którego od razu w stylu OS dokonał mocny warszawsko-zakopiański zespół. Droga krótko czekała na drugie przejście klasyczne i została szybko powtórzona (w dole *Wariantem Muskata* 6-). Końcówka lutego stoi pod znakiem wspinaczki na najbardziej znanej linii na ścianie Olejarni – *Małe jest Piękne* 6+. Z drogą kolejno uporały się aż trzy zespoły.

Powtórzenia doczekała się również zeszłoroczna nowość na Świeczniku Raptawickim *Kokot* 5+/6-. Jeden z autorów powtórzenia *Kokota* jest też

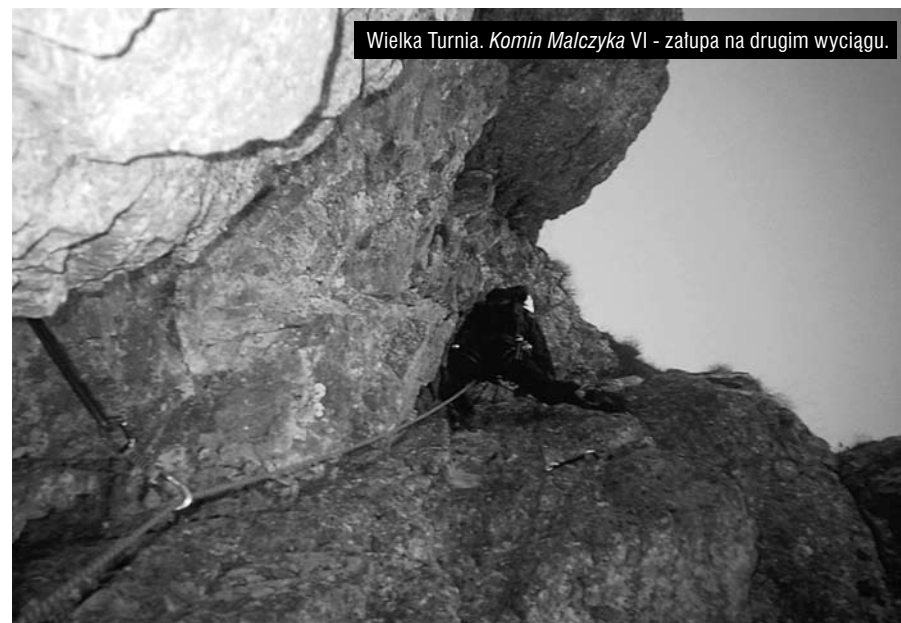
współautorem częściowo nowej drogi *Kombinacja Zachodnia* 6+, wytyczonej również na ścianie Świecznika Raptawickiego. Ostatnie dwa przejścia, o których dotarły do nas informacje, to pierwsze powtórzenie odhaczonej w zeszłym sezonie drogi *Prawy Komin Zająca* 7 (proponycja obniżenia wyceny z 7+) na Wielkiej Turni. Na tej samej ścianie pierwszego zimowego pokonania doczekała się droga *Ukośsem przez ścianę Filara Wolfa*, która padła od razu klasycznie, a jej trudności są na pewno wyższe niż 6+.

Odrębną kategorią przejść, zawsze dość wysoko ocenianą, jest wspinanie solowe. W mijającym sezonie miało miejsce kilka

Giewont, *Grass Opera* 5+. Fot.: <http://www.freerajdy.pl>



Wielka Turnia. *Komin Malczyka* VI - załupa na drugim wyciągu.





Wielka Turnia, *Komin Malczyka*.



Wielka Turnia, *Komin Malczyka*.

naprawdę wartościowych przejść wymagających od ich autorów pancernej psychy. 15 stycznia jeden z najaktywniejszych solistów tego sezonu przechodzi w 9 h *Komin Malczyka* 6+ na Wielkiej Turni. W lutym kontynuuje on swoją samotną krucjatę przechodząc Drogę Bidzińskiego V-. Jednak jego najmocniejszym przejściem było zrobienie na Giewoncie nie powtórzonej od 16 lat drogi Jacka Jani i Janka Muskata *Bez Ale* V+. Powagi drogi nie umniejsza dwukrotne A0 w trudnościach. Całość padła w 14 h i autorowi tego przejścia należą się wielkie gratulacje za to przejście.

Solowego przejścia za sprawą młodego zakopiańczyka doczekała się *No Brewka* IV+/V- na Giewoncie.

Podobnie jak w ubiegłym roku, nie udało nam się dotrzeć do informacji o ciekawych przejściach po południowej stronie Tatr. Dokonania członków klubu odnotowane na obozie w Dolinie Kieżmarskiej, omówione zostały w bieżącym numerze A/Zero w odrębnym opracowaniu poświęconym działalności klubowej na Słowacji.



ONSIGHT

Centrum Wspinaczkowe

Hala Sportowa Kero
Warszawa, ul. Obózowa 60

zapraszamy codziennie od 10⁰⁰ do 22⁰⁰

dojazd z Centrum tramwajami: 1, 12, 13, 20, 23, 24
przystanek: Magistracka

Karnet dla członków KW tylko 120 zł (najkorzystniejsza oferta na rynku)!

Świnica, ściana pn-zach.

wierzch. pn-zach, 2291m.

Artur Paszczak

Jest to ściana typowo kursowa, z dużą ilością łatwego terenu, ściana rzadko uczęszczana, krótsza i mniej poważna niż jej pn-wschodnia sąsiadka, którą opisywaliśmy w A/Zero 6. Ma zimowy charakter, zatem trudno byłoby znaleźć na niej ładny teren, choć nie jest to miejscami wykluczone.

Ściana ta nie ma dobrego opisu, duża ilość łatwego terenu powoduje, że drogi i warianty mieszają się ze sobą, a trudniejsze pasáže sąsiadują z łatwymi i wymagają konsekwencji w realizacji. Niemniej ma ona swe walory – skała jest ogólnie niezła, podejście i zejście krótkie i niekłopotliwe, a wspinaczki osiągają długość prawie 250 m. Można się na pn-zach. ścianę Świnicy wybrać w marcowe popołudnie i zdążyć na obiad przed zmierzchem.

Opracowanie to prosimy traktować jako wyłącznie podstawę do dalszej pracy. Przebiegi kilku dróg i wariantów pozostają niejasne, ponadto – niemal na pewno – są na tej ścianie inne, nieznanne nam linie. Będziemy wdzięczni za przesłanie nam informacji o nich pod adresem redakcji lub mailowo paszczak@qdn.net.pl

Północny filar Świnicy

1. *Filar Świnicy, wariant blisko ostrza IV-V*, 4-5 h 90/350 m

Ip: wprost ścianą czołową: Jan Staszal i Aleksander Steinberg, VII 1931, III, 90 m (WHP 36 EG)

lewym wariantem w ścianie czołowej: Teresa Kulejowska, Michał Kmietowicz i J. Wawrzyniec Żuławski, 29.07.1934, IV, ok. 50 m (WHP 36 EF)

1A. *Filar Świnicy, warianty obejściowe (zdobywców)* III, 3 h, 350 m Ip: dół:

Jadwiga Chorzewska i Wiesław Stanisławski, 7.08.1931, II (WHP 36 BD) środkowa część: Wiesław Stanisławski i Justyn T. Wojsznis, 13.07.1927, I (WHP 36 J)

górna część: Mieczysław Lerski, 19.07.1909 (WHP 36 KMNO)

Zimą: Michał Gajewski i Jan Długosz, 18.04.1949, 6 h (dół obeszl, WHP 36 A). Opis: WHP 36 BDJ

Warianty: Stefania Grodzieńska, Lech Pawłowski i J. Wawrzyniec Żuławski, 20.08.1951

Maria Skroczyńska i Karol Jakubowski, 21.08.1951



Jerzy Świdorski i Piotr Żółtowski, 12.09.1951; Wzm: „Oscypek” 12-13, s. 29

• *Filar Świnicy, prawą ścianą (warianty Świerza)* II-III, 2.30 h, 350 m Ip: Władysław Kulczyński jun. i Mieczysław Świerz, 18.07.1908 Opis: WHP 36 A (= 34 AB +)

Północno-zachodnia ściana

2. *Lewą częśćią II*, 2 h, 350 m

Ip: Władysław Kulczyński jun. i Mieczysław Świerz, 18.07.1908

Zimą: Henryk Mogilnicki i Witold Orłowski, 9.04.1930

Opis: WHP 34 AB + 35 ABC + 34 JNPS, JK Masyw Świnicy nr 48.

3. *Środkową częśćią II*, 2 h, sją Staszla IV, 2h 250/350 m

Ip: Jan Staszal, 4 tow. i przew. Jan Gąsienica Tomków, 14.07.1937

Zimą: Henryk Bednarek, Andrzej Pietsch, Zbigniew Rubinowski i Marek Stefański, 17.04.1952

Opis: WHP 33 ABDE (u dołu WHP 33 lub 34) oraz JK Masyw Świnicy nr 45.

4A. *Wariant Bromowiczów, lewą dwoistą rysą II*, 100 m

Ip: Teresa i Zbigniew Bromowiczowie, Stanisław Krupski i Ryszard W. Schramm, 26.08.1951

Opis: SD 1951, nr 1

5. *Twierdza grubasów, środkowym filarem IV+* 300 m

Ip: Alicja i Artur Paszczak, 8.04.2006

Droga interesująca i ładna, w charakterze podobna do Filara, acz krótsza. Uwaga: drogę należy traktować jako nową linię, acz nie nową drogę *explicite*, ponieważ z pewnością odcinki łatwego terenu były już w tych okolicach pokonywane wcześniej. W ścianie tego typu jest to po prostu nieuniknione.

6. **Prawym skrajem, depresją, droga Stanisławskiego II**, 2h 250 m

1p: Zofia Królowna, Zdzisław Chobrzański i Wiesław Stanisławski, 5.08.1926
Zimą: (2pz 1955?)
Opis: WHP 32 (BCDF), JK Masyw Świnicy nr 44.

7. **Prawym skrajem, żlebem Dąbrowskiego I**, 45 min 200m

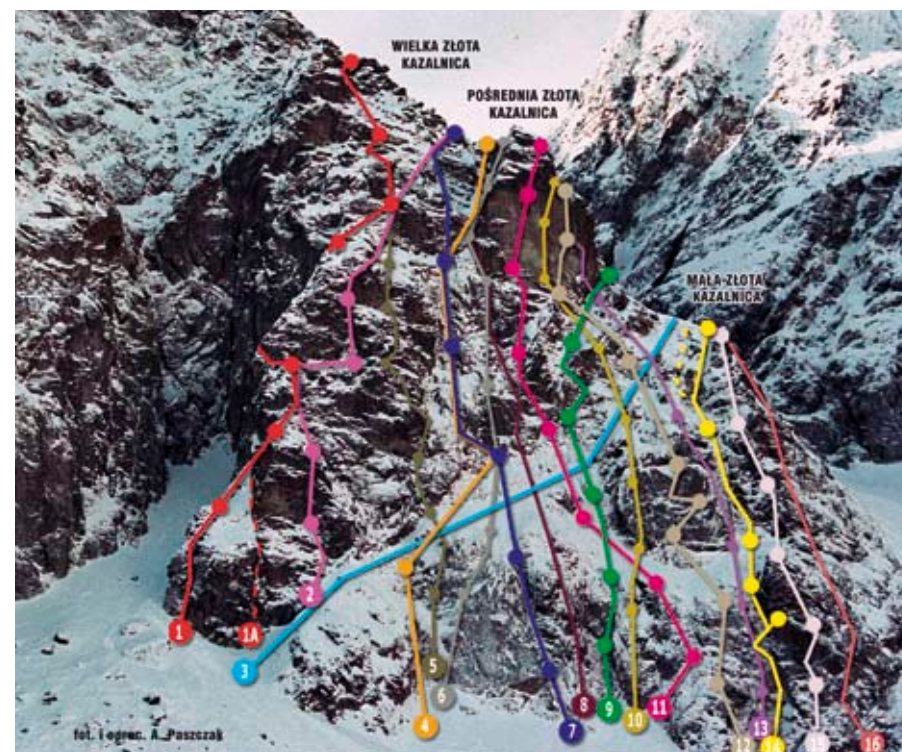
1p: Zdzisław Dąbrowski, 21.08.1931.
Opis: JK Masyw Świnicy nr 40.

Wielka Żłota Kazalnica. Artur Paszczak

Wielka Żłota Kazalnica, czyli Usata Vezicka, opada ku północy piękną ścianą o wysokości ok. 400m. Wspinaczkowo ma ona charakter raczej zimowy, ze względu na często nienajlepszej jakości skałę, przetykaną mchem i trawami. Wspinaczki są w większości poważne, natomiast krótkie zejście i podejście czynią z WZK idealny zimowy poligon. Jeszcze w 99 r. na ścianie było zaledwie kilka dróg, a ja z trudem mogłem uwierzyć, że olbrzymi komin w centralnej części nie ma przejścia! Od tego czasu pokryła ją siatka dróg tak gęsta, że trudno aż ją rozszyfrować, szczególnie ze względu na częsty brak ewidentnych formacji. Nie trudno zauważyć, że to Pavel Jackovic zapisał się na trwałe w historii eksploracji WZK, wytyczając z różnymi partnerami aż 6 dróg plus siódmą z Ucha (*Tobogan*). Rzuca się też w oczy nowy trend, jakim jest dążenie do pokonywania dróg narzędziowo. Kwestią otwartą pozostaje rzetelność, czy też punkt odniesienia wycen, co sygnalizuję przy poszczególnych drogach.

Przebieg wielu z nich jest na tyle skomplikowany, że niemożliwością było uniknięcie błędów, za które z góry przepraszam i od razu proszę o przesyłanie ewentualnych korekt. Z 16 wymienionych dróg miałem okazję przejść jedynie 5, stąd pozostałe linie są mi znane tylko z oglądu z dróg sąsiednich. Mam nadzieję, że ten pierwszy od wielu lat wysiłek opisanie WZK doprowadzi w przyszłości do powstania rzetelnego topo.

1. **Palenicek-Svec**, 21.12.71, oryg. IV+, zimą 5+, 7h.
Piękna, popularna droga w pewnej skale. Trudności koncentrują się na pierwszym i środkowym wyciągu (trawers w lewo), choć cała droga jest wspinaczkowa. Uwaga – po osiągnięciu od strony Ucha ponownie ostrza filara i wykonaniu kolejnego wyciągu w trawersie w prawo, kierujemy się nie na wierzchołek Pośredniej Kazalnicy, ale do góry w pionowe zacięcie (4+) i dalej na wierzchołek Wielkiej Kazalnicy.



- 1A. **Wariant Jackovic-Adamec**, VI
2. **Elegancja**, Cech-Jackovic, 21.01.2001, oryg VI, A1, zimą M6+/7-, 9h
3. **Wariant Żulawskiego** do Filara Grosza, III, 1.5h
4. **Spiaca kraska**, Brt-Urbasek, 15.01.83, 5.5h
5. **La Sarapata**, Jakubec-Mierka, 22.02.2005, M5, A1, 9h
6. **Sokova terapia**, Jackovic-Mrava, 6-7.03.2004, VII+
7. **Żłota nitka**, Wolf-Mieszkowski, 23.02.89, 5+, 8h
Piękna droga z wymagającą asekuracją, wspinanie wyłącznie klasyczne po rzad-

kich kępach trawy. Jeden z klasyków doliny.

8. **Via mala**, M7-, brak danych o autorach
9. **Złoty strzał**, Kopyś-Paszczak, 12.03.99, oryg. V+ A0, odhaczone na VI, ostatnio wycenione na słowackie M5- (!) Krótka, ale ciekawa droga o wyrównanych trudnościach, dużo powtórzeń.
10. **Gypsy**, Jackovic-Skokan, 01.12.2001, 26-27.01.2002, oryg VI+, A3/4.
Prawdopodobnie bez powtórzenia.
11. **Rybicka-Smid-Svobodova**, 8-10.03.76, oryg. A4, dziś A2/2+, 16h.
Pierwsza droga pokonująca przewieszony blok szczytowy, klasyk doliny.

12. *Tibetska cesta*, Hromadka-Jackovic-Skokan, 27-29.12.1998, VI-, A2+/3, 19h
Jedna z pierwszych modernistycznych dróg Pawła Jackovica, sporo powtórzeń, w tym jedno polskie (Sieklucki-Polok).
13. *Matrix*, Vrtik-Janak 9-11.03.2002, M8, 1xAF, A2.
Mega-hardcore. Siermiężne trudności w przewieszanej ścianie, niestety zdobywcy musieli na ostatnim wyciągu połączyć się z *Tibetską* i nie dali go rady pociągnąć klasycznie. Za to na pierwszym wyciągu, cenna informacja – *OS nebo smrt*. Wyceny w skali M, np. M4 na wspomnianym odcinku, należy traktować z przymrużeniem oka. Wg naszej tatrzańskiej skali będzie to min. 6+, jak nie lepiej. Manu Pelli-sier ocenił trudności komina na ok. M7– w 2000r.
14. *Ruska ruleta*, Hamor-Jackovic, 18-19.03.94, oryg. VI A3, obecnie M6– (!), 7h.
Droga solidna, choć niedługa.

W kluczowym kominie teren kruchy i nieprzyjemny, trudności asekuracyjne. M6– należy traktować podobnie jak w przypadku *Matrixa*. W moim odczuciu, przetłumaczona „na nasze” wycena będzie brzmieć w okolicach 7+. Sporo powtórzeń (co najmniej 2 polskie), aczkolwiek nie jest to klasyk.

15. *Lose-Marcisz*, 7-9.02.80, oryg. V A2, obecnie VI, M7-, 9h.
16. *Cerveni baroni – nie si isty poisti*, Jackovic-Medvec-Rabatin, VI A0, 27.12.2005, 7h.
Wbrew nazwie droga nie jest dedykowana naszemu „Baronowi”.
Na prawo od drogi 15 wchodzi jeden z wariantów startowych do Filara Grosza, a z Miedzianej Kotliny rozpoczyna się jeszcze dwie drogi:
- *Wrona-Trybus*, 9.02.89, V+, 5h.
 - *Rock and Ice*, Svrcek, Hatala, 11.02.2005, A3 M5 90°.
- Nie udało mi się ustalić przebiegu drogi *Kyvala-Psotka* z 21.02.71, biegnącej gdzieś na prawo od *Palenicka*.

Skrajny i Pośredni Kieżmarski Strażnik. Ściany północne. Artur Paszczak

Opracowanie topo Skrajnego i Pośredniego Strażnika okazało się zadaniem przerażającym moją wiedzę, pomimo dwóch zimowych obozów. Nagromadzenie dróg jest tam bowiem tak ogromne, że rozwikłać je może chyba jedynie Pavel Jackovic, który po prostu wszystkie je przeszedł. Dodat-

kowo, większość nowych dróg ma bardzo nieczytelny przebieg i nie prowadzi wyraźnymi formacjami, co tym bardziej utrudnia ich umiejscowienie. Proponuję więc potraktować poniższe opracowanie jako wstęp do właściwego topo i materiał do dalszej pracy.



Ściany Strażników przypominają nieco naszą Bułę pod Bańdziochem – blisko, łatwe zejście, a powspinać się można i owszem. Być może dlatego nie ma w Kieżmarskiej straconych dni – nawet w klasyczną dupowę można szturmować rozliczne cele na Strażnikach i mieć z tego sporą zabawę. Przeciętna długość dróg to 3-4 wyciągi, z tego zazwyczaj tylko 2 trudności. Wszystkie linie nie wyprowadzają na Złotą Drabinę, przedłużenie Niemieckiej Drabiny, i bezpiecznie sprowadzają w dolinę.

Uwaga – przy dużej ilości śniegu należy się tam asekurować – pochyły stok grozi deskami, a z asekuracją problemów nie ma – potrzeba tylko paru igieł.

Na prawo od Pośredniego Strażnika znajdują się jeszcze dwie ściany – Zadniego Kieżmarskiego Strażnika i Kieżmarskiego Kopiniaka (Szczepanskeho Vezí) – bardzo

podobne w charakterze. Postaramy się nimi zająć w przyszłości, chyba, że przedtem ukaże się zapowiadany przewodnik Pavla Jackovica.

1. *Ovci stezka*, Brt-Kotas, 2.02.83, III-IV, 1/2h.
2. *Koncert sa nekoval*, 12.02.2000, IV, kto?
Uwaga: nie jestem pewien, czy kolejność dróg 2, 3, 4 jest w istocie taka, oraz czy drogi te nie się nie pokrywają.
3. *No a co ked?* Kolank-Bariak-Cesiek, 19.01.2004, VI-, 4h.
Tuż na lewo od *No a co?*, podobno „super lezenie”.
4. *No a co?* Farianc-Lorinczi-Sorek, 25.02.89, IV+, 4h
5. *Rebel* (występuje też jako *Tango*), Svrcek-Jakubec, 16.01.99, M5, 6h.
6. *Spomenka*, Svrcek-Jakubec, 28.12.98, M6, 6h.



7. *Zivagove blues*, Svrcek-Hreus-Ziduliak, 29.12.92, V+, 6h.
8. *Rambo*. Brak informacji o drodze.
9. *Lava hrana Beleho kvetu*, Jackovic, 10.01.2002, VI A1, 5h.
10. *Bely kvet*, Marcik-Brt, 31.01.83, V, 3h.
11. *Zbirka*, Lorinczi-Ferianc-Cernosek, 24.02.89, V+, 3h.
Istnieje adnotacja, że droga pokrywa się z Racko-Vestenicky. Wg. mnie to mało prawdopodobne, ale nie wykluczone.
12. *Kobra*, Jackovic-Paratin, 12.01.2005, VI, 8h do szczytu KK.
13. *Psołka-Varga*, 1.07.53, V, 3,5h do szczytu KK.
14. *Cary*, Styr-Surcer-Jakubec, 7.03.2001, M5, 6h.
15. *Racko-Vestenicky*, 11.08.77, V, 8h do szczytu KK.

16. *Atlantida*, Tatraska-Jackovic, 11.01.2002, VI, 6h.
17. *Puskas-Pavlik*, 21.01.52., III-IV.
Do wierzchołka KK.
Dół drogi jako pierwsi przeszli Orłowski i Paryski 4.09.53.
18. *Poludnajszy klud*, Brt-Kotas, 5, 3.02.83, 3h.
Chyba jedna z najładniejszych dróg w rejonie, piękne wspinanie w kominie (nie należy z niego uciekać, tylko pokonać wariant wprost), spore nagromadzenie trudności ale w zrozumiałym zakresie. Polecam.
19. *Duchon-Nitsch*, 28.VI.1928, IV.
Ładna i logiczna droga wiodąca ewidentną rampą, potem depresjami na wierzchołek P.K.S.

Dry Tool, Hot Dog & Wet Drink Carnival Picnic – Janówek 2006 ...by Eye of the beholder.

Zdjęcia: Marek Czyżewski i Paweł Przybysz.

Tegoroczny Piknik w Janówku był już czwartą edycją popularnego Dry Tool, Hot Dog & Wet Drink Carnival Picnic organizowanego przez Klub Wysokogórski Warszawa. Nawet niewielka frekwencja wśród startujących nie umniejszyła atrakcyjności imprezy, która obroniła się pozasportowymi punktami programu, jak ognisko, grill, degustacja różnych przednich trunków i „żywiec” Bakterii na sanach na jednej ze ścian bunkra. Tegoroczne spotkanie było nie tylko okazją do zaspokojenia swoich sportowych ambicji, ale także miejscem gdzie odnawiano stare i nawiązywano nowe znajomości a także załatwiano różne nie do końca legalne interesy. Poniższe fotostory rzuca zaledwie cień światła na prawdziwe oblicze Pikniku w Janówku.

Wyniki rywalizacji sportowej:

Kobiety:

Alicja Paszczak i Stasia Ferko – ex-aequo
pierwsze miejsce

Mężczyźni:

Jakub Ziółkowski 11 pkt.
Marcin Nowogrodzki 10 pkt.
Michał Dziedzic 7 pkt.
Marek Fliśnik 7 pkt.
Marcin Chmieleński 6 pkt
Grzegorz Rutkowski 5 pkt
Piotr Bucki 4 pkt
Sławomir Pawłowski 3 pkt
Paweł Strzelecki 3 pkt
Alek Arak 2 pkt
Łukasz Ferko 2 pkt
Konrad Parzych 2 pkt
Paweł Przybysz 2 pkt
Marek Czyżewski 1 pkt
Paweł Karczmarczyk 1 pkt
Adam Pałka 1 pkt
Przemysław Goraj
Mikołaj Hotówko
Paweł Olek





W A M P I R

Już od dłuższego czasu wśród wspinaczy krążyły opowieści o zagadkowych śladach ukąszeń, jakie się pojawiały na ciele po powrocie ze skałek Środkowej Jury. Nie mam tu na myśli ukąszeń owadów; były to wyraźne ślady zębów ludzkich, ulokowane przeważnie w miejscach wrażliwych, jak szyja czy kark. Częściej występowały u kobiet, ale trafiało się to i mężczyznom, zwłaszcza młodym. Najbardziej zdumiewające było to, że nikt z poszkodowanych nie zdołał zapamiętać momentu ugryzienia.

Kiedy u dwóch ugryzionych stwierdzono znaczny ubytek krwi, sprawą zajęła się policja. Pocztą pantoflową dotarła do nas wiadomość, że przesłuchiowano znanego wspinacza zawierciańskiego i jednego z instruktorów podlesickich; obaj mieli alibi.

Pod koniec tygodnia naczelny zwołał zebranie redakcji w trybie nagłym. Siedzieliśmy w milczeniu wokół wielkiego stołu, czekając co powie. Wyjął z szuflady jakiś papier.

– Dostaliśmy list z Komendy Wojewódzkiej w Katowicach. W sprawie śladów ukąszeń jedyny trop prowadzi do nas: wszyscy pogryzieni otrzymywali nasz periodyk. Proszą o dokładne zbadanie każdego szczegółu, który by mógł mieć związek z tą aferą. Ochrzcili ją kryptonimem „Wampir”.

Po chwili dodał: – Rzecz zdaje się mieć wymiar nie materialny, lecz mistyczno-magiczny, dlatego każdy z nas zacznie poszukiwania od własnej świadomości, sięgając w głąb jaźni. Ponadto powołuję grupę specjalną, która zajmie się zbadaniem pomieszczeń redakcji. Do tego najlepsi będą A., M. i oczywiście ty – wskazał palcem na mnie. – W razie czego, wiecie co robić, zwłaszcza ty – znów wskazał palcem na mnie.

Wszyscy w redakcji wiedzieli, że paralem się magią. Z tego powodu czasami ze mnie żartowano. Niekiedy nadużywano moich umiejętności; tym razem jednak nie protestowałem: chodziło przecież o dobre imię naszego zespołu i o czytelników, wśród których mieliśmy wielu przyjaciół.

Po powrocie do domu przeszukałem, zgodnie z poleceniem szefa, swą świadomość, sięgając w głąb jaźni tak daleko, jak to było możliwe. Trwało to cały weekend. W poniedziałek miałem okropnego kaca i z trudem mogłem sprostać codziennym obowiązkom.

W lokalu redakcji pierwszym podejrzanym był komputer, wszak to za jego pośrednictwem utrzymywaliśmy niezliczone i najprzeróżniejsze kontakty. Korzystając z pomocy wpływowych przyjaciół, A. dotarł do najlepszej hakerki w stolicy o pseudonimie „boska Zośka” i zgodnie z obowiązującą, moim zdaniem nieco snobistyczną modą, zaprosił ją na wykwintny obiad w Barze Uniwersyteckim, a potem przywiózł wysłużonym landroverem do redakcji. Boska Zośka usiadła przy komputerze; w napięciu czekaliśmy na jej werdykt.

– Ten komputer jest normalny – oznajmiła trzy godziny później, przeciągając się dość seksownie, po czym wstała. – Usunęłam trochę wirusów, ale spokojnie mogliście to zrobić sami. Tak, komputer jest normalny, to wasz problem jest paranormalny.

Następnego dnia przetrząsnęliśmy wszystkie zakamarki redakcji, i. znaleźliśmy wielką drewnianą skrzynię z metalowymi okuciami. Wewnątrz znajdowały się różne papiery, było to zatem coś w rodzaju archiwum.

– Musimy to wszystko przejrzeć – rzekł A. – Mam przecucie, że klucz do całej zagadki jest tutaj. Ale zajmiemy się tym dopiero jutro.

Następnego dnia już od rana pochylaliśmy się nad skrzynią, wydając dokumenty i przeglądając je w miarę starannie. W powietrzu unosił się kurz i dość nieprzyjemny, trudny do określenia zapach. Stopniowo przebijałyśmy się przez kolejne warstwy archiwaliów. Wydruki komputerowe ustąpiły rychło miejsca maszynopisom, pojawiały się nawet rękopisy, zmieniał się gatunek i kolor papieru. Teksty stawały się coraz mniej czytelne, praca szła powoli, ogarniała nas zmęczenie i senność.

Już blisko dna, oprócz manuskryptów, zaczęły się pojawiać rozmaite przedmioty, również takie, których na tym miejscu nie należało się spodziewać: pęknięta musztardówka, zepsuty parasol, majtki damskie, mnóstwo skorupki od jajek, brudne chusteczki i bukiet zeschłych kwiatów, które zresztą natychmiast rozpadły się w proch. Papiery były coraz starsze i coraz bardziej zniszczone; niektóre wyglądały tak, jakby je zalano kawą.

Nagle M. natrafił na pękatą kopertę. Otwierał ją powoli. W środku było kilka kartek maszynopisu i dwie mocno podniszczone sztuczne szczęki. Senność minęła natychmiast, każdy z nas czuł, że wreszcie coś się dzieje.

Pokonując uczucie obrzydzenia, A. obejrzał protezy i złożył je razem: pasowały do siebie jak ulał. – One są chyba z czasów Gierki – rzekł. – Albo i starsze – dodał po chwili.

Tymczasem M. zajmował się papierami. Były, niestety, w fatalnym stanie, mimo

to próbował z nich coś wyczytać. – Na początku jest mowa o pogodzie, potem następuje opis jakiegoś krajobrazu. Panowie, to chyba Jura! – wykrzyknął.

Rzuciliśmy się na pozostałe kartki, gorączkowo przeglądaliśmy jedną po drugiej. Tekst był prawie nieczytelny, wprawdzie tu i ówdzie odnajdowaliśmy strzępy wyrazów, ale nie układały się one w sensowną wypowiedź. Wreszcie natrafiłem na dłuższy urywek; powoli, z wysiłkiem, zacząłem go odczytywać, z trudem opanowując drżenie głosu.

„... w gryzał się w skałę, chętniej jednak w delikatne szyje młodych kursant. ”.

Zapadła cisza, po chwili przerwał ją A.

– No to mamy rozwiązanie – rzekł. – To faktycznie demon. Demon skalny.

– Na to wygląda. A te protezy to medium – dodał M.

A. pozbierał papiery i wraz ze szczękami włożył do koperty, w której się uprzednio znajdowały, zakleił ją starannie i położył przede mną.

– Zajmiesz się tym, prawda? – zapytał i nie czekając na odpowiedź zaczął się zbierać do wyjścia.

Wróciłem do domu dość późno. Byłem zmęczony, więc po kolacji zagłębiłem się w fotelu. Przywieziona z redakcji koperta leżała na stole. Jakoś nie chciało mi się przystąpić do działania. – Sprawdzę jeszcze pocztę – pomyślałem i włączyłem komputer. Na monitorze zamigotała ikona gadu-gadu. – Kto o tej porze. – zdziwiłem się i spojrzałem na zegar: była północ. Otworzyłem.

– Błagam: nie niszczone mnie! – przeczytałem. Poczułem gorące uderzenie lęku, ale szybko się opanowałem. Pochyliłem się nad klawiaturą.

– To Ty, Wampirze?

– Tak, to ja. Czy musisz mnie tak brzydko nazywać?

– Przecież gryziesz i wysysasz krew. Przykro mi, ale muszę Cię zlikwidować.

– Wcale nie musisz. Wystarczy zniszczyć protezy.

Zastanowiłem się. Chyba ma rację. Ale co powiem szefowi, jeżeli nie wykonam zadania? Tymczasem na monitorze pojawił się nowy tekst.

– Naprawdę – przeczytałem. – Będę od-tąd grzeczny, jakbym nie istniał. Kocham skałki i wystarczy mi, że po prostu w nich zostanę.

Wahałem się, ale moja nieufność stopniowo malała. W końcu też kocham skałki.

– O.K. Ale nie próbuj dawnych sztuczek, bo... I nikomu ani mru-mru. Żegnaj!

– Uf, zasługujesz na moją dozonną wdzięczność. Bądź zdrow!

Wyłączyłem komputer, po czym zniszczyłem zawartość koperty, i to metodami fizykalnymi, nie uciekając się do magii. Mimo zmęczenia długo nie mogłem zasnąć tej nocy; moje myśli wciąż wracały do rozmowy z demonem.

Odtąd ślady ukąszeń przestały się pojawiać. Niebawem policja umorzyła śledztwo, a z czasem o wszystkim zapomniano. I tylko ja, włócząc się samotnie wśród skał, wyczuwam wciąż dyskretną współobecność i coraz częściej zaskakuje mnie uczucie, że jest mi z tym dobrze.

M.N.P.

TATRZAŃSKA MOCNOMLECZNA

Niezbędna na góskim szlaku



Łgórstwo (3)

Próbki

Czas pokazać, jak przystępuje do dzieła ktoś, kogo mogę słuchać w nieskończoność. Ale to nie ja, skądże! Ceniony przeze mnie styl łgórstwa uprawia mój stały partner, Egon Alter.

Rekin z Robhakfjellet

Byliście w Robhakfjellet? Pewno, że nie. W skały startuje się tam wprost z łódki, z poziomu zera, lub, gdy kto woli, fiordu. Tym razem czekała nas dziewicza połać klifu, czarny jezior granitu, który morze wystawia niebu. Pod samym niebem trójkąt ściany zbiegał się w małą kazalnিকę.

Od rana myślałem, że to dorsz. Dorsz w konfiturach, wędzony, polany jałowcowym sosem. Taki ziąb na dnie żołądka, jakbym miał zdychać właśnie od tego miejsca. Lodowate igły pełzły stamtąd w końce palców. Grzbiet przebiegały zimne dreszcze. Płuca z oporem wchłaniały powietrze. Nie, to nie dorsz... Coś wisiało w powietrzu. I mierzyło nas nieruchomym okiem jak kura ziarnko, które zamierza dziobnąć.

W osiemnastej godzinie wspinania słońce wgniotło czerwonym kałdunem horyzont, lecz wiedzieliśmy, że nie zajdzie. Balansowałem na zadziorkach, mając w polu widzenia dwa skajhuki, poniżej których majaczył na tle czeluści mój wierny partner, Noel Agret. Bo i mgła wstała znad wody. Mieliśmy za sobą jedenaście wyciągów litej wybruszonej gładzi bez skazy. Bez szczelin i wżerów, bez niczego, prócz białej wysypki kwarców i skalnych pryszczu nie większych od agrestu. Ale nade mną rysował się skraj zbawczej kazalniczki. Dwa szybkie ruchy. Dwa szybkie ruchy, na które nie mogłem się zdobyć. Jakby ktoś laskotał mnie ostrzegawczo w podeszwę.

Szybki wdech i już stałem na górze, mając przed nosem czoło szczytowego bloku. Weisnąłem palce w dziurki chwytów, gdy wtem zakręciło mi się w głowie. Świat zawirował. Dorsz po raz ostatni podszedł mi pod gardło. Dłonie odjechały od ciała. Wzdłuż liny dobiegło stłumione wycie.

Odruchowo opuściłem ręce. Świat znieruchomiał. Mój wzrok ześliznął się po caliźnie i wpadł w czarną szparę u stóp. Już zdrętwiały, skamieniałem do reszty. Cała ściana – jak okiem sięgnąć, w prawo i lewo, a przede wszystkim w głąb, setki metrów, aż gdzieś niżej poziomu wody – odszczypana była od lica urwiska. Straszliwa rekinia płetwa, której przed sekundą omal nie wyważyłem z posad, nie była nigdzie grubsza niż na łokieć. Gdybyśmy po drodze wbili choć jeden hak, odgłos tego, czego nie sposób dostrzec, ostrzegłby nas... i pożegnał!

Przez mózg przebiegła dzika myśl: skoczyć? Szansa jedna na tysiąc, ale... Z zapartym tchem patrzyłem, jak z mgły wylania się bezszelestnie para olbrzymich mew. Jedna wyrażnie oblizała się na mój widok. Podobno larusy najpierw wydziubują oczy...

Itđ.

Dzwonnica grozy

Jak dwustumetrowy szachowy laufer sterczy z głębi doliny Campanile di Val Montanaia. Od południa jest niby przeciągnięta żelazkiem, od wschodu – przewieszona, od zachodu spróchniała, a zamiast czwartej ściany ma coś, co przewodnik określa jako „północne okapy”. Wokół cisza aż dudni, nie do wiary, że z grani widać ludną Cortinę d’Ampezzo. Czekając, aż mój partner, Leon Grate, nadejdzie pod wieczór zarośniętą ścieżką z Longarone, postanawiam przebiec trójkową drogę normalną z 1902 roku, wiodącą prawym kantem południowej ściany.

Po małej półgodzinie jestem u podnóża końcowej rysy, wciętej w płaski wierzchołek. Rysa nie jest naprawdę trudna, lecz po raz pierwszy przychodzi mi do głowy...

Głupia myśl: niech się wyłamie chwyt, wykruszy stopień – czy to, co znajdzie się u stóp tej czerwonej ściany, to będę jeszcze ja?

A plecak doleci pewnie aż do stawu.

Skąd te kretyńskie myśli, od których szczęśliwie byłem zawsze wolny? I czemu akurat teraz? Stoję trzydzieści metrów pod wierzchołkiem i czuję, jak miękna mi nogi. W tym momencie sponad mej głowy rozlega się potężne, miarowe bicie dzwonu.

Rzecz jasna wiedziałem, że na Campanile di Val Montanaia jest dzwon. Ale wiem też, do licha, że jest kompletnie bezwietrznie i że z całą pewnością na szczycie nie ma nikogo!

Komu bije ten dzwon?

Od dłuższej chwili stoję skurczony na małym stopniu, wciąż nieufnie spoglądając na ręce – czy nadal trzymają chwyt. Gdyby tak usiąść. Nieco niżej, po prawej, nie dalej niż wyciąg liny, widzę kuszącą nyżę. Prowadzi ku niej całkiem wygodna półeczka.

Za moment zagłębiam się w pachnący wilgotnym mchem półmrok. Nagle dłoń, wyciągnięta w ciemność, natrafia na jakiś kształt. Znajomy, ale całkiem niespodziany.

To masywna, kowalskiej roboty klamka.

Pokażcie mi takiego, kto nie nacisnąłby tej klamki! Uchylają się jakieś drzwi i z nieznanej przestrzeni bucha na mnie chór głosów. Po paru krokach widzę już, że stoję w oknie kopuły skalnej świątyni. W dole mrowi się tłum żałobnych postaci. Zawodząc posępną pieśń, otaczają kamienny stół, na którym spoczywa ktoś w stroju alpinisty.

Przypominają mi się wieści o dziwnych obyczajach mieszkańców Longarone. Datują się od strasznej katastrofy. W 1963 roku zawałiła się pobliska tama Vajont, woda zmyła pół miasteczka. Zginęło ponad dwa tysiące ludzi. Odtąd miejscowi odprawiają ponoć modły gdzieś w górach.

Dzwon bije raz po raz. Ale kto tam leży? Ja, czy mój wierny partner Leon Grate?

Itp.

Zastrzeżenie

Niegdyś Egon Alter, jak wszyscy, opowiadał, jak się wspina. Później opowiadał lepiej, niż kiedykolwiek się wspinał. Dziś opowiada raczej po to, by nie musieć się wspinać. Ale zawsze mówi, że jak skończy, na pewno pójdzie się wspinać. Dlatego nie upoważnił mnie do skończenia tych opowieści.

Jan Gondowicz

Łopata, sonda, pips.

Andrzej Baron Skłodowski

Wielu klubowych kolegów – zwłaszcza tych, którzy w ostatnich latach jeździli ze mną na tradycyjne, słowackie obozy klubowe, – gdy tylko zobaczy tytuł tego materiału, pomyśli z pewnością: Baron znowu będzie pieprzył o tej swojej antylawinowej łopacie.. Mają rację – znowu będę pieprzył o trzech podstawowych elementach antylawinowego wyposażenia turysty bądź wspinacza zimowego. Chodzi o łopatę, sondę i pips. Będę pieprzył do znudzenia (mimo iż idzie lato), tym bardziej, że dobrze pamiętam lekki rechot, gdy na wykładach o tatrzańskim zimie czy chodzeniu po górach lodowcowych (i to nie tylko dla początkujących górolazów), wyciągałem z plecaka swoją lekką, francuską łopatę. A przecież noszenie jej przez całą zimę w plecaku (obok sondy i pipsa) wydaje mi się od kilkunastu lat równie oczywiste jak zabieranie raków czy czekana. Oczywiście, nie tylko mnie – dotyczy to każdego tatrzańskiego ratownika czy przewodnika IV/BV. Na ostatnim obozie naszego klubu w Dolinie Kieżmarskiej, w schronisku mieszkaly liczne grupy wspinaczy z Czech, Francji czy Słowacji. I nikt – podkreślam, nikt – z tego zaczęto towarzystwa nie był pozbawiony tego podstawowego wyposażenia. Tylko część Polaków. Popatrzcie na zagranicznych wspinaczy, turystów czy skialpinistów bawiących zimą w Tatrach – wszyscy mają pipsy, łopaty i sondy. W Alpach jest podobnie. A nie wyglądają na takich, co się

umartwiają nosząc niepotrzebne graty. Dlaczego posiadanie tych niezbyt skomplikowanych i lekkich przecież (a w przypadku łopaty i sondy – także niedrogich) przyrządów jest takie ważne? Sprawa jest prosta. O przeżyciu zasypanego przez lawinę prawie zawsze decydują działania jego kolegów, którzy pozostali na wierzchu, lub sami zdołali się odkopać. Ratownicy, śmigłowce, psy – to wszystko dociera na teren wypadku lawinowego na ogół zbyt późno, obojętnie u nas czy w Alpach. Taka jest brutalna statystyka. Liczy się pierwszych kilkadziesiąt minut, czasami kilkanaście. I dlatego wyposażenie antylawinowe powinni mieć wszyscy, by każdy mógł pomóc znajdującemu się pod śniegiem koledze.

ŁOPATA. Łopata, jaka jest – każdy wie. I do czego służy – także. Spróbujcie kopać zbity śnieg lawiniska rękami czy czekanem – przekonacie się sami. A i instrukcja obsługi nie jest potrzebna. Lekka, plastikowa, składana łopata kosztuje w Chamonix niewiele ponad 100 PLN. Nie masz forsy, to kup w sklepie ogrodniczym, małą, aluminiową, również lekką, jednocześnie łopatę, skróć plastikowy trzonek i za równowartość 4 browarów masz swój przyrząd. Noszę komplet antylawinowy od wielu lat i tylko raz, na szczęście, musiałem użyć łopaty. Wykopałem klienta, któremu z lawiniska wystawała tylko ręka. Trwało to kilkadziesiąt sekund i nic się facetowi nie stało.

Nie chcę nawet myśleć, co by było, gdybym miał to robić gołymi rękami.

SONDA. Składane sondy też są dostępne w górskich sklepach i też nie są przesadnie drogie. Polecam sondę o długości 2-2,5 metra. Dłuższe za bardzo wyginają się w rękach niezbyt doświadczonego użytkownika. Sprawdź dokładnie system blokujący sondę po złożeniu, z tym bywa różnie. I pamiętaj – gdy nie masz sondy, a używasz składanych kijów, rozkręcasz kijek na całą długość, walisz czekanem w kółko (aby je zerwać z kijka) i masz gotową, prawie dwumetrową, sondę.

PIPS. To elektroniczne urządzenie ma dwie funkcje. W pierwszym położeniu emituje sygnał, który pozwala odszukać zasypanego. Po zmianie funkcji na odbiór, może (głos lub obraz) pomóc odszukać przysypanego partnera, którego pips wysyła sygnał nadawania.

To nie jest instrukcja obsługi pipsa. Ale należy pamiętać, że:

- wszystkie rodzaje pipsów w całym górskim świecie są kompatybilne – bez względu na markę i datę produkcji;
- pipsy powinni mieć wszyscy członkowie zespołu;
- pips ustawiamy na „odbior” (czyli emitowanie sygnału nadawania)

jeszcze przed wyjściem w góry, na ganku schroniska;

– pips to nie łopata. Samo jego posiadanie nie daje nic, a w każdym razie nie pozwoli ci efektywnie pomóc innemu. Musisz nauczyć się obsługiwać to urządzenie i to nauczyć porządnie. A potem potrenować i, co ważne, odświeżać umiejętność obsługi pipsa przed każdym sezonem zimowym. Ale dla pokolenia użytkowników telefonów komórkowych to chyba nic trudnego.

Pipsy nie są, niestety, tanie (od 600 do 1000 PLN za sztukę). Ale w Zakopanem są już liczne wypożyczalnie tych urządzeń (a także łopat i sond).

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Nie masz forsy – zrób sobie łopatę, na to stać każdego. A potem pomyśl o reszcie wyposażenia, zdobądź je i trenuj używanie. I życzę Wam, Szanowne Koleżanki i Koledzy, byście nie musieli nigdy tych urządzeń używać, podobnie jak apteczki, którą nosimy w plecaku.



Fot.: M. Olinkiewicz

